

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 5 KWIETNIA 1930 ROKU

NR. 14

TREŚĆ NUMERU: Opieka społeczna a matka pracująca i jej niemowlę — *Zofja Drabikowa*. Sprawy do podjęcia — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Pytanie” — *Hanna Mortkowiczówna*. Zawalidroga (dok.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Amerykanka w klubie — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Sprzymierzeniec przeciwnikiem — *Stanisława Jarocińska-Malinowska*. Wystawa pamiątek po Asnyku — *S. P. O. Z książek — S. P. O. Z teatrów — S. P. O. Ze sportu kobiecego — M. K. Kobieta w świecie i w domu. Jedwab, perkal, czy to, co najważniejsze? — W. Borudzka. Ochrona pactwa pożytecznego — J. Neyman. Przesadzanie roślin doniczkowych — Inż.-ogrodn. *Marja Nagajówna*. Tegoroczne mazurki — *Pani Elżbieta*. Walne Zgromadzenie Doroczne Koła S. G. D. — *M. A. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Popołudnie strojne — Well. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — Zofja Reutt-Witkowska. Arkusz wzorów.**

OPIEKA SPOŁECZNA A MATKA PRACUJĄCA I JEJ NIEMOWLĘ

Wiadomo, że macierzyństwo kobiety, poza jej naturalnym prawem fizycznym i moralnym, jest jednym z najważniejszych czynników społecznych. Jednak skomplikowane warunki ekonomiczne, ciężka, często bezwzględna walka o byt, jaką staczać musi kobieta pracująca, zepchnęły macierzyństwo do roli czynnika drugorzędowego, nie rzadko traktowanego, jako zło konieczne. Anormalność tych stosunków zwróciła wreszcie na siebie uwagę ogółu i oto znamienym rysem cywilizacji XX-go wieku stało się dążenie do ochrony przyrodzonego prawa natury, troska i opieka nad macierzyństwem kobiety. Jesteśmy świadkami uchwalania przez parlamenty różnych narodów odpowiednich ustaw, powstawania instytucyj państwowych, samorządowych i opartych na inicjatywie prywatnej, których jedynym celem jest zapewnienie opieki matce i dziecku. Piękne hasła genewskiej Deklaracji praw dziecka zaczynają powoli przenikać do społeczeństw współczesnych, a w szeregu państw, jak Francja, Belgja, Włochy, Estonja, Argentyna i inne, istnieje już ustawowa opieka nad macierzyństwem.

W Polsce ochroną macierzyństwa kobiety pracującej zajęto się już w kilka lat po przywróceniu naszego bytu państwowego. Dowodem tego jest wydana 2 lipca 1924 r. ustawa sejmowa o pracy młodocianych i kobiet, której artykuł 15-ty zawiera nakaz zakładania żłobków dla niemowląt przy wszystkich zakładach pracy, zatrudniających powyżej 100-tu kobiet. Artykuł ten, którego funkcjonowanie dwukrotnie odraczano, zaczął ostatecznie obowiązywać od 29 lipca 1928 r.

Dziś już śmiało możemy stwierdzić, że ustawa

ta nie tylko faktycznie weszła w życie, lecz i rozwija się bardzo pomyślnie. Świadczą o tem najlepiej cyfry. Według brzmienia ustawy, zakładów, obowiązanych do założenia żłobków, jest w Polsce 244, a już w przeciągu półtora roku od jej uprawomocnienia zastosowało się do niej 90, t. j. przeszło trzecia część, gdy tymczasem we Francji, gdzie prawo to obowiązuje już od 1917 r., istnieje zaledwie 30 żłobków fabrycznych.

Z ogólnej liczby tych instytucyj w Polsce 45 żłobków jest założonych przy fabrykach prywatnych, reszta przy państwowych — a mianowicie: przy monopolu tytoniowym 18, przy spirytusowym 13, zapalczanym 8, w fabrykach wojskowych 4 i w kopalniach Skarbofermu 2. Z liczby 191.391 kobiet i 20.392 dziewcząt, pracujących w przemyśle, objętych jest ustawą 103.869, a korzysta już z niej 23.453 matek i ponad 4.000 dzieci.

Długotrwałe odraczanie ustawy, jak i trudności przy realizowaniu jej, są wynikiem opornego stanowiska przemysłowców, broniących się przed płynącymi stąd wydatkami. Wysuwając stale argument, że zakładanie żłobków czyni pracę kobiet kosztowniejszą, zapominają, że praca ta i tak jeszcze jest o połowę tańsza od męskiej. Najbardziej wrogo w stosunku do żłobków odnosi się przemysł włókienniczy w Łodzi, w którym do dnia dzisiejszego nie istnieje jeszcze ani jedna tego rodzaju instytucja. Z obozu tego raz po raz jeszcze wychodzą próby zwalczania ustawy, które wobec pomyślnego jej urzeczywistnienia w praktyce, są kruszeniem kopij o sprawę już dawno przesądzoną.

Tymczasem wysiłki ministerstwa pracy i opieki społecznej, w którego rękach spoczywa wykonanie ustawy, a zwłaszcza niezmordowane zabiegi inspektorek pracy, którym żłobki podlegają — nie idą na marne. Robota ta, rozpoczęta, wobec istniejących trudności, od zakładów państwowych (pierwszy żłobek powstał w 1927 r. w Warszawie, przy monopolu tytoniowym), rozszerza się stale na coraz większą ilość zakładów prywatnych. Raz po raz powstają nowe placówki i to urządzone nie tylko wzorowo, lecz z uwzględnieniem ostatnich, najnowszych wymagań higieny. Do tych należy otwarty 9 marca w Grudziądzu, w fabryce Pe Pe-Ge prześliczny żłobek, a równocześnie przy nim lotna stacja opieki nad dzieckiem i kuchnia mleczna dla niemowląt.

Nie można również nie wspomnieć tu o specjalnie budowanych domach humanitarnych, które śmiało mogą się nazywać pałacami higieny. Mieszczą się w nich sale jadalne i czytelnie dla robotników, żłobki dla niemowląt i dziecińce dla nieco większych malców. Świeżo ukończony taki dom znajduje się przy fabryce wyrobów tytoniowych w Warszawie, na Ochocie. Niedawno uruchomiony został żłobek fabryki „Plutos“, a w najbliższym czasie otwarte zostanie w nowym, 14-to pokojowym budynku żłobek przy fabryce Wedla.

Tu również należy podnieść bardzo dodatni objaw, oparty na dotychczasowym doświadczeniu, że nieprzychylnie stanowisko właścicieli fabryk do chwili założenia żłobka, w następstwie ulega zwykle zmianie na korzyść, wobec żywotności tej instytucji.

To też wszędzie prawie spotykamy się z samorzutnym rozszerzaniem ram świadczeń po za przepisy ustawy. Temi nadprogramowymi świadczeniami są: dokarmianie dzieci, stosowane we wszystkich żłob-

kach, często przyznawane porcje mleka dla matek karmiących, a także obejmowanie opieką nie tylko dzieci robotnic, lecz i takich, których jedynie ojcowie zatrudnieni są w zakładzie, jak się to dzieje w poznańskiej fabryce czekolady „Goplana“.

Ministerstwo, starając się ułatwić zadanie przemysłowcom i zajmując na ogół bardzo liberalne wobec nich stanowisko, zezwala na uruchomienie t. zw. żłobków lotnych, będących czysto polską formą tych instytucyj, tam, gdzie istnieje rzeczywisty brak odpowiedniego lokalu na żłobek stały, wymagający jako minimum, 5 — 7 ubikacyj, znajdujących się w pobliżu fabryki.

Dla żłobka lotnego wystarczają dwa pokoje — poczekalnia i gabinet lekarza, dokąd przynoszone są stale, w oznaczonych terminach, dzieci do badania, a opiekę nad nimi sprawują pielęgniarki, które w czasie zajęć matki odwiedzają niemowlęta w ich domach, wykonując wszelkie potrzebne zabiegi i kontrolując warunki higieny w mieszkaniach robotniczych.

Zmniejszony koszt utrzymania takiego żłobka (50 gr. do 1 zł., a w stałych do 3 zł. dziennie od dziecka wraz ze wszystkimi dodatkowymi świadczeniami) nakłada już na fabrykantów obowiązek dożywiania dzieci i zaopatrzenia je w wyprawki, które ułatwiają pielęgniarkom utrzymanie maleństw w czystości.

Początkowy nieufny stosunek matek do nowej, nieznannej im instytucji zmienił się szybko dzięki zupełnemu zjednaniu sobie ich zaufania, tak iż argument przeciwników, że robotnice nie będą przynosiły dzieci do żłobków — upadł wobec rzeczywistości. Żłobki są przepełnione i stale walczą z brakiem miejsca, a szereg zebranych już faktów świadczy wymownie o docenianiu ich znaczenia przez robotnice.

Zofja Drabikowa.



Kolejka przed żłobkiem fabryki „Płomyk“ państwowego monopolu zapalczanego.

M. H. SZPYRKÓWNA

SPRAWY DO PODJĘCIA

W związku z tak żywotnymi dzisiaj kwestjami mieszkań najmniejszych, najtańszych, a najmożliwszych, „Bluszcz“ już zamieścił kilka artykułów oświetlających. Natomiast nasuwa się jeszcze jedna rzecz, jakgdyby dotąd nieskonsolidowana dostatecznie, i tej właśnie praktycznej niejako stronie chcę poświęcić jeszcze słów parę, dopóki uwaga jest na mieszkaniach skupiona.

Słusznie uderzało widza przy zwiedzaniach mieszkań, że dwu—czy jednopokojowe mieszkanie— a więc z natury skromne — były umeblowane zbyt kownemi i ciężkimi meblami z najlepszych firm.

Dlaczego?

Prosta rzecz, że nie dlatego, aby wydać jak najwięcej pieniędzy, któreby się wolało w takim razie raczej zużytkować na rozszerzenie lokalu. Zatem z innego powodu. I powód ten jest niezwykle łatwy do odgadnięcia: bo mebli odpowiednich na takie współczesne i celowo specjalnie dla małego mieszkania pomyslane środowisko, jeszcze nie mamy.

Tak przynajmniej było mówione.

Nie mniej jednak, mam wrażenie, że nie na tem polega zło. Polega ono na czem innym: na *braku odpowiedniej centrali*, któraby takie właśnie, najcelowsze meble dla małego, średniego, wielkiego lub zbyt kownego mieszkania dobrała, posegregowała, ponumerowała odpowiednimi znakami i stworzyła niejako poradnię fachową dla wszystkich, którzy na tę, czy inną stopę zamierzają się umeblować.

Pomyślmy, jak niezmiernie wiele ułatwiłoby to paniom, zwłaszcza na prowincji, gdzie trudno samej nieraz wypatrzeć coś nowoczesnego i wygodnego, przy każdym zawieraniu małżeństwa, przenosinach i wogóle meblowaniu wnętrza! Pomyślmy, ile oszczędziłoby to czasu i pieniędzy, bo przecież chodzenie, ba! deptanie za każdym poszczególnym sprzętem po sklepach i targowiskach, jest plagą kobiet, które z tych, czy innych względów muszą urządzać się na gospodarstwie. A zresztą, czyż każda wie, czego mianowicie byłoby jej potrzeba dla najlepszego i najbardziej celowego urządzenia mieszkania? Bynajmniej! Musiałaby dlatego przeczytać moc broszur, zwiedzać wystawy, urządzenia, pokazy — być, jednym słowem, w toku całego dorobku nowoczesnego z tej dziedziny. A czyż dla wielu jest to dostępne, a nawet celowe? Zabrałoby to tak wiele czasu, w stosunku do rzadkiej okazji meblowania, że zupełnieby się nie opłacało.

I stąd narzuca się samo przez się życzenie, aby zamiast wysiłków, robionych kosztownie i niecelowo przez tysiące, powstała jedna centrala meblownicza, dla zaspokajania potrzeb budującej się obecnie Pol-

ski, w najgłówniejszych jej podrozdziałach mieszkaniowych.

Jakże się przedstawiają te podrozdziały?

Wiemy, że nie przestały istnieć mieszkania zbyt kowne, które co czas jakiś bądź kompletują swoje urządzenia, bądź też je stwarzają odnowa — ale o te troszczyć się można najmniej: zarówno gust i znawstwo ich właścicieli (najczęściej, jeżeli nie zawsze, o-beznanych z poziomem, na jakim chcą postawić wnętrze), jak i pierwszorzędne firmy meblowe, w których się zaopatrują, dostatecznie zapewniają im odpowiedni dobór sprzętów. Znajdą tam wszystko i najzbyt kowniejsze i najwygodniejsze, o ile nie są skrepowani wysokością ceny. Jest to sfera, nie potrzebująca specjalnej opieki społecznej, ani samopomocy gospodarczej.

Inaczej już ma się rzecz z mieszkaniem średniem, powiedzmy, pięciopokojowem, przy normalnej rodzinie około sześciu osób. Przyjąwszy, że zawsze salon i jadalnia odchodzą na pokoje małowieszkalne, zostaje ich tylko trzy do rozlokowania domowników. Aby uczynić to porządnie i estetycznie, należy już uciec się do pewnej pomysłowości i wynalazczości — ekonomika meblowa wchodzi tu już wybitnie w grę. Łóżka, czy tapczany? Stoły, czy odkładane blaty? Ścienne szafy w przedpokoju i pokojach, czy też meblowe? Kredens, czy półki w ścianie? Pokój służbowy, czy łóżko wiszące gdzieś w alkowie, która służy na skład tego czy owego, wobec braku u nas koniecznych nieraz składów gospodarczych? — Są to już pytania i problemy, które należy rozważyć i rozstrzygnąć. A gdzież tu jest czas na chodzenie za tem po stu firmach i wyszukiwanie stu nieskompletowanych szczegółów? Gdzież kobieta, zajęta dzisiaj i biurem, i szkołą, i fachem, i gospodarką własną, ma możność wykrajając ze swego mrówczego dnia te wszystkie kursy piesze, czy taksówkowe, które wcale przytem nie zawsze doprowadzają do celu?

Jeszcze znakomitszą koniecznością są fachowe meblarnie dla mieszkań najmniejszych. Prawdopodobnie, powinnyby się tem zająć specjaliści okrętowi, bo naprawdę najmniejsze mieszkanie lądowe coraz bardziej przypomina kabinę na statku. Kabina jest wzorem skondensowania największej i najkonieczniejszej ilości codziennych sprzętów na najmniejszej przestrzeni, w najbardziej niewidoczny sposób. Czegożo tam niema! Wszystko, jak w najmniejszym mieszkaniu: ze ściany odkłada się blat stolika; umywalnia półobrotowa w ścianie; za lustrem półki; szafa w ścianie; krzesła, wiszące na hakach na wypadek potrzeby ich rozłożenia, i łóżka, wiszące jedno nad drugim.

Jeżeli do tego jakoś sprytnie włączyć kuchenkę gazową pod pudełkiem na kapelusze i jeszcze jakiś sprzęt nieoczekiwany (dajmy na to, w koszu od śmieci) — bylibyśmy prawie na okręcie: postawić najmniejsze mieszkanie na koła ratunkowe i puścić na Wisłę, a popłyniemy!

Żyć w takim skondensowaniu jest o tyle trudno na dłużej, że człowiek się czuje, jak amerykańskie konserwy w puszkach; ale ostatecznie, wiele z tych urządzeń istotnie dałoby się doskonale zastosować.

Jest tak szalenie ważną rzeczą umieć rozlokować to niewiele sprzętów, jakie się w najmniejszym mieszkaniu mieszczą, tak właśnie, aby jednak nie tworzyły kabiny i nagromadzenia, ale aby niejako oddychały — że może to zrobić tylko fachowiec: zarówno architekt, jak meblarz. Trzeba wiedzieć, jak to można półkami w przepierzeniu stworzyć przeszliczne podręczne biblioteczki, a pod wykuszami parapetów pomieszczać szafki ściennie; jak półki nad drzwiami można przeszlicznie przyozdobić ceramiką polską i talerzami, a kretony barwne zamienić na wyszukany „styl nowoczesny“ w udrapowaniu pokoju — ażeby ocenić wagę fachowości. Nietylko, że nie można samemu dobrze, tanio i celowo się umeblować, ale nawet nie należy tego próbować bez porady fachowców: wpadniemy zawsze, a przerabiać małe mieszkanie jest trudniej, niż się zdaje, aby się nie stało odrazu i brzydkie. Więc najglówniejszą potrzebą współczesnego meblarstwa polskiego jest stworzenie poradni fachowej, ewentualnie firmy specjalnej, któraby z ceny, kształtu i zastosowania mebli umiała wybrać w kilku najtypowszych kompletach te, które nadają się do najbardziej celowego umeblowania dwupokojowych mieszkań inteligentkich — i takie, gotowe już, wzory w ilustrowanych katalogach z cenami, miała do rozesłania na każde żądanie klienteli.

Trzecim typem koniecznym i szczególnie w Polsce zaniedbanym jest mieszkanie również małe, ale o zupełnie innym poziomie i potrzebach — mieszka-

nie robotnicze. Jest to więcej, niż potrzeba: jest to — placówka. Robotnik u nas jeszcze nie mieszka: gnieździ się przygodnie z wielką rodziną na minimalnej przestrzeni, a jakie z tego wynikają skutki etyczne i zdrowotne, zbyt dobrze wiemy, aby o tem pisać. Jest to zatem *rzecz do stworzenia* — typ mieszkania właściwie jeszcze w życiu nieistniejący.

Typowa komoda z włóczkowymi serweteczkami i sztucznym kwiatem, stanowiąca chlubę rodziny, i jakaś odpowiednia kanapa — właśnie może jaknajmniej są w tem środowisku pożądane i konieczne. Właśnie w robotniczej izbie, wśród kobiet zapracowanych i mało obeznanych z jakąkolwiek, najprymitywniejszą celowością metod pracy, inicjatywa organizacji gospodarczej miałyby wdzięczne i humanitarne zastosowanie.

Amerykanki to zrozumiały i, jak zawsze, wprowadziły praktycznie: jest tam specjalny związek ochotniczy propagandy oszczędności mieszkaniowego wśród niezamożnej ludności. Przychodzi taka instruktorka (bynajmniej nie pod tem imieniem, zresztą), ubrana odpowiednio skromnie w fartuch ochronny i czepeczek na włosach, i ma ze sobą rzeczy najpierwszej potrzeby: trochę gwoździ, młotek, sznur, papier kolorowy na wycinanki i półki, śmietniczkę, ścierkę, szczotkę. Wszystko w małym worku, jak na zakupy. I pokazuje, po uprzejmej rozmowie z gospodynią, jak to możnaby w *jej własnych* warunkach (a więc nieraz najgorszych) jednak wnieść trochę estetyki i ład. Przybija gwoździe nad zlewem na poniewierające się za skrzyniami ścierki; zakrywa wystrzygankami półki; ustawia bardziej celowo meble, aby śmieci, przy gotowaniu, nie trzeba było rozwłóczyć po całej izbie; zamiata, przeciąga sznurek, który oddzielałby łóżka od siebie, słowem — oporządza nieład i bezład wnętrza.

Czyż nie celowa propaganda? A więc: centrale meblowe i pouczanie najuboższych — oto zadanie dla nas!

HANNA MORFKOWICZÓWNA

PYTANIE

*A zwycięstwa są wciąż bezradosne
I od celu biegnie się do celu.
Kiedy wreszcie będzie czas na wiosnę,
Mój najmilszy, dobry przyjacielu?*

*Kiedyż będziemy się mogli nie śpieszyć,
Szczęście błysnie, by się nie odrzucić?
Kiedyż wreszcie skończymy się smucić,
Że nam zbraknie na pracę młodości?*

*Kiedyż będziemy się mogli nie spieszyć
Pić z uśmiechem słodycz każdej chwili
I nareszcie zaczniemy się cieszyć
Wszystkiem tem, cośmy dotąd przeżyli?*

*Tem, że ciepło przez serce nam płynie,
Od oddechów świat staje się szerszy,
Że w swobodnej, radosnej godzinie
Niema miejsca na pisanie wierszy!*

HERMINJA NAGLEROWA

49)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Czy naprawdę musisz mi zdawać sprawę z każdej twojej miłości? Przecież i tak nie spamiętam, a potem pomyślą mi się te wszystkie Hanki, Jadzie i Marysie — zaśmiała się.

Sądziła, że tak było lepiej, było poprostu bardziej uczciwie, niż pozować się wzruszeniem. Tak tu siedział pochylony, wetknąwszy ręce między kolana, aby jej coś dawnego i najprzykrzejszego przypomnieć tem podobnem, zawstydzonem mruganiem powiek. To jego ojciec tak samo dziwił się i nie pojmował jej słów, które już były ostateczne i drwiną przesłaniały wzburzenie. Zofja musiała przytem pomyśleć, że jest także ta sama, że nic nie zmieniło się w niej, mimo wszystko. Jest odważna i lekkomyślna, jest niecierpliwa i szalona. Więc, co może powiedzieć teraz swemu dorosłemu synowi, jak tu z nim zgodnie szeptać o wielkiej miłości, o uczuciu, które trwa do śmierci? Nie może mu przecież powiedzieć swojej całej, doświadczonej prawdy! Lepiej, gdy on sam przeżyje, wyżyje wszystkie te sprawy bez jej doradczego współczucia. Pamięta przecież, jak zniecierliła swoją matkę za jej rozpacz z powodu rozstania się z mężem, za te najlepsze może, ale tak bardzo niestosowne rady. Bo każdy musi sam, sam z sobą porozumieć się, sobie uwierzyć. Kto pojmie, kto, choćby najmędrzy, dostrzeże te cieniutkie sieci, te nikłe barwy, które są tą niepojętą istotą życia? Zofja mogła synowi jeszcze tylko tyle powiedzieć:

— O swoich uczuciach, Franku, nie należy tak głośno i otwarcie mówić. Jest jakby pewna kultura dyskrecji, która ma głębsze znaczenie, niżby się zdawało. Gdy się o tych sprawach rozpowiada, przeinacza się wszystko w sobie samym. Może to już nawet w tej chwili stwierdziłeś na sobie, że coś jakby się zmieniło i popsuło. Trzeba milczeć, bo największą wartością uczuć jest ich — zatajenie.

Ale mówiąc tak o mistyce uczuć, wiedziała, że więcej jeszcze należy ukrywać ich wstyd. I prawie już wiedziała, że każda niespółmierność z rzeczywistością jest właśnie takim wstydem, który staje się bezprawiem i karygodnem wykroczeniem. I dlatego, gdy Franek wstał nagle i jakby całą przestrzeń przed jej oczyma zappełnił swoją postacią, skurczyła się, jak ktoś, który lęka się uderzenia.

— Ty mi tego nie mów, ani mnie ucz żyć po swojemu — powiedział Franek. — Od ciebie i od ojca nauczyłbym się doprawdy za wiele.

Odczuwał teraz jakby mściwy żal do matki za jej drwiny.

— Nie wiesz jeszcze, jaki ty będziesz, choć śmiesz mnie potępiać.

Nie za zuchwałe słowa wzburzała się teraz Zofja, ale za swój podły, fizyczny strach. Tak się tu wywyższał nad nią całym sobą — wzrostem, siłą, obelżywą mową! Nie wiedząc o tem, co było najgorsze, i co w bezsennej nocy sama w sobie napiętnowała, wszystko inne w ezambuł osądzał. I jakby naprzekór synowi, Zofja wspomniła sobie te wszystkie inne uczucia, ich tkliwe znaczenie i ich niezapomnianą wartość. Nie miał prawa deptać po tem, co przeżyła! Nie ma prawa mówić jej, że jest zła!

— Będziesz taki właśnie, jak ja — krzyczała, jak złożycząca wróżka — będziesz jeszcze gorszy, bo taki, jak ja i twój ojciec, jak my oboje razem! Jesteś przecież naszym synem!

— Więc jednak to stwierdzasz, jednak musisz się do tego przyznać!

— Do czego się przyznać? — Znowu odczuła ni ziutko pełzający lęk.

— Do odpowiedzialności za mnie! Że to właśnie wy oboje jesteście odpowiedzialni za to, jaki jestem, jaki będę!

Teraz mówił, śpiesząc się, jakby trzeba było wszystko odrazu i bez reszty wyjawić: — że tak właśnie trwał przy niej, tak jej nie odstępował myślą i uczuciem. Czy rozumie, czem dla niego była taka świadomość, że jest niepotrzebny? Jakże się wysilał, żeby sobie zdobyć ojca, jakże się natrudził, żeby go oboje włączyli w swoje życie!

— Bo każde z was dla siebie, tylko dla swoich, mnie dalekich, obcych i wrogich spraw.

Przelękłe oczy matki wymykały się jednak i tym razem jego napastliwym słowom. Ale już nie dbał o to, już wcale nie chciał jej oszczędzać.

— Teraz musisz mi to powiedzieć, musisz mi to wreszcie wytłumaczyć, dlaczego tak było, dlaczego z nas trojga tylko ja cierpiałem, tylko ja jeden odczuwałem naszą wspólność.

— Przecież i my — szepnęła — przecież i my dla ciebie...

— Wiem, powiesz mi znowu, że wychowałam mnie, że mnie żywiłaś, a ja jestem niewdzięczny. Już mi to nieraz mówiłaś, ale nie to sprawiało mi ból. Teraz chcę, abyś mi powiedziała, czy jakoś inaczej ważyłem w twojem życiu. Żyłaś przecież tak, jak gdyby mnie wcale nie było.

Mówiąc to, wiedział, że i teraz matka się zatai, że właśnie w jej zastraszonych oczach już jest chęć

ucieczki przed nim. A może się to wogóle nie da powiedzieć? Przecież nawet on sam przemieniał prawdę w nieprzekonywujące kaznodziejstwo. Bo napewno tak było, że jego uczucie zawsze wyrastało ponad możliwość pojmovania. Było więc dla niego samego czemś nieokreślonym, jak początek wszechrzeczy. Ale teraz miał wrażenie, że oderwał się od wirującej mgławicy i stał się samoistnym ciałem. Dostrzegał już przestrzeń, dzielącą go od przyczyny cierpień i niepokojów, przestrzeń, wypełnioną jedynie pamięcią przeżyć, niby drgającymi falami eteru. I dla tej pamięci właśnie potrzebne mu było jeszcze wyjaśniające słowo matki:

— Musisz mi to dziś powiedzieć, żebym wreszcie zrozumiał, dlaczego się tak męczyłem waszym życiem — dopominał się.

Zofja pomyślała, że cokolwiek mu teraz powie, nie przyda się już na nic. Już ją przecież zaocznie osądził. Mogłaby niewiedzieć jak protestować przeciw jego niesprawiedliwości i egoizmowi — nic przecież nie osiągnie, skoro uzurpował sobie prawo sądenia jej. Na chwilę szarpnęła się gniewem:

— Może mnie jeszcze skążesz na publiczną pokutę, może nawet pod pręgierz...

Ale nagle jakby jej żar spopielał i jakby ten szary popiół przysypał jej mózg. Powiedziała cicho:

— Nie mogłeś tego zrozumieć, może nawet nigdy nie potrafisz zrozumieć, że tak było... Że nietylko ja jestem winna, ale wspólnie wszyscy... I ty, ty także. Mogłabym ci teraz powiedzieć, że byłam młoda, że coś i mnie się należało. Ale nie wiem, czy dla dziecka matka jest — żywym człowiekiem. Nie wiem, jak to sobie wyobrażają dzieci. A także nie wiem, czy obowiązek rodziców jest naprawdę tak nieograniczony, czy już nie poza nim... Czy to jest coś, co podnosi, czy coś, co niweczy... Według ciebie, powinnam była wyrzec się własnego życia. Może kiedyś poznasz, jak to trudno, może sobie kiedyś przypominasz mnie i ojca... Może jakoś inaczej o tem pomyślisz.

Mówiąc tak, patrzyła na syna, odwróconego pro-

filem, schylającego głowę i barki, jakgdyby ładował na siebie jej nieudźwignięty ciężar i swoje niezawinione winy. — Nie, nie było tu jego win — myślała — albo były tylko małe, jak winy dziecka, przeciwstawiającego się przemocy starszych, ich bezwzględnej woli i samowoli. Przecież walczył tylko z tem, co wydawało mu się najdotkliwszą obrazą. I tak właśnie było źle, że mu nigdy nie ulży, skoro trzeba zataić przed nim prawdę swojego życia, aby zachować zakłamaną dostojność matki.

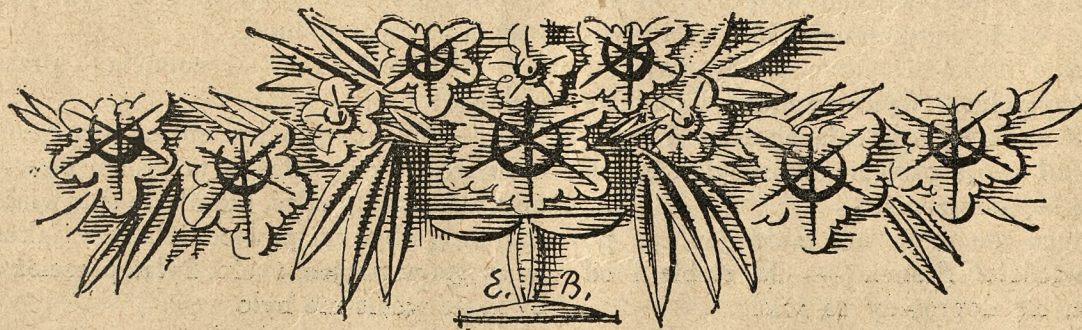
— Franku — krzyknęła — Franku! — i lekko pogłaskała jego przygarbione plecy, aby wyprostował się, aby to jakoś strząsnął z siebie. Ale, gdy odwrócił się do niej i niezręcznym ruchem chciał ją do siebie przyciągnąć, cofnęła się. Nie, nie powinien jej tak łatwo przebaczyć, nie powinien przebaczyć, skoro nigdy się nie dowie, jaka była naprawdę. Zaledwie jednak pomyślała to o sobie, wszystko, co było poza nią, cofnęło się w głąb, w mrok. Odczuła tylko duszną, dławiącą beznadziejność i pojęła natychmiast, że to jest — starość. Tak było, jak gdyby ją tu nagle i odrazu zagarnęła i jakgdyby to musiało stać się teraz, gdy parzył na nią syn.

Gdy wyszła z pokoju, Franek długo nie mógł unieść myśli, przysypanej, niby mogiła, ciężarem piachu. Wreszcie jakaś łagodna fala, niby łaską niebios zesłana, jąła pokolei spłókiwać wszystko, co przytłaczało go teraz, w tej chwili i wczoraj, i dawniej, dokąd pamięć sięgnie.

Gorącymi wargami dotknął ściany, dzielącej jego pokój od pokoju matki, ale w sercu niecierpliwił się już pośpiech odejścia. Za progiem domu czekała go przecież zwycięska miłość dziewczyny.

Franek przeszedł boczną ulicę, jeszcze cichą i jakby zaróżowioną mroźnym oddechem słonecznego ranka. Ale wnet wmieszał się w tłum głównej ulicy i, zagarnięty szarą, bezustannie ruchliwą masą, stał się jednym z wielu.

K O N I E C



M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

AMERYKANKA W KLUBIE

(od specjalnej korespondentki „Bluszczu“)

Zaproszona przez niedawno poznaną Amerykankę do „jej“ klubu na „lunch“, oczekuję, zupełnie już gotowa, zapowiedzianego przyjazdu po mnie mojej nowej przyjaciółki. Zjawia się punktualnie o oznaczonej godzinie własnym, niewielkim autem, które, oczywiście, sama prowadzi. Siadam koło niej. Ruszamy.

Mistress L. wygląda młodo — co w pewnej części przypisać należy umiejętnemu, a dyskretnemu podmalowaniu brwi i policzków. Usta są już otwarcie purpurowe. Ubrana skromnie, ale od stóp do głów — do koloru. Wesoła, prosta i rozmowna. Kieruje swoją maszyną, jak najwprawniejszy szofer, zuchwale i ryzykownie skręcając tuż przed sunącymi wprost na nas olbrzymimi autobusami.

Z szerokiego bulwaru nad jeziorem, które wzbudzoną jesienną falą bije dziś o kamienne wybrzeże, wpadamy w ulicę śródmieścia. Panorama niebosiężnych drapaczy zbliża się, następuje na nas. Migają w oczach jaskrawe szyldy, wielkie, kryształowe okna luksusowych hoteli. Ciche i szybkie mijają nas z głuchym poświstem motorów niezliczone samochody. Co chwila zwalniamy, przystajemy. Trzeba poczekać na zmianę światła w sygnałach ruchu. Gdy po czerwonym ukaże się zielone — można jechać dalej.

Stajemy wreszcie przed kilkunastopiętrowym domem. To już tu. Ale trzeba umieścić samochód w bocznej uliczce, bo tu mu czekać nie wolno. Objeżdżamy. Wysiadamy. Pani L. misternym kluczykiem zamyka w kilku miejscach swoją maszynę. All right! Możemy iść na śniadanie.

Szybka, jak piorun, winda wyrzuca nas na 15-em piętrze gmachu. Wspaniały, szeroki „hall“, wysłany dywanami, lustra, zaciszne kąty z wysoką lampą i miękkim fotelem. Murzynka w białym czepeczku odbiera okrycia w garderobie. Przy drzwiach sali jadalnej dystygowana starsza pani w ciemnej sukni wita z miłym uśmiechem panią L. Jest to sekretarka klubu. Zostaje jej przedstawiona z nieodzownym przesyłabizowaniem mego trudnego nazwiska.

Bardzo ograniczone możliwości językowe nie pozwalają mi na wyrażenie, jak się należy, zadowolenia z poznania klubu i owej pani. Ale nikt się o to nie gniewa. Pani dużo mówi, ja bąkam coś nie coś i uśmiechamy się do siebie — resztę dopowiada pani L. Ona zresztą także nie włada innym językiem, jak angielski (ściślej: amerykański), ale rozumie po francusku, więc jakoś nadrabiamy, pomagając sobie „głową, ręką, nawet nogą“, jak mówią moje dzieci.

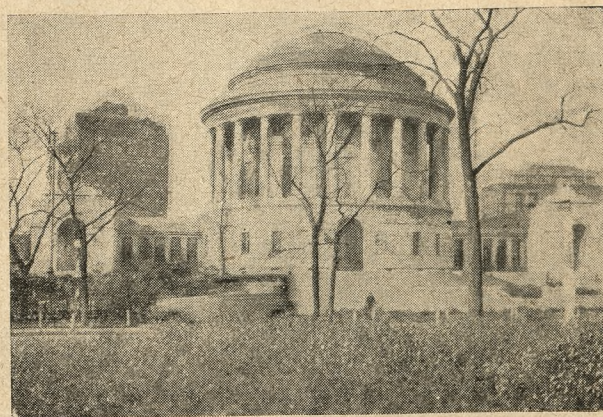
W dużej, jasnej jadalni pełno stolików i prawie wszystkie zajęte. Widzę po chwili, że wśród przewa-

żającej ilości pań kwitnie tu i owdzie, niby fiołek wśród trawy, jeden i drugi osobnik rodzaju męskiego — gość w Women Club'ie. Pani L. układa „menu“ z usługującą miss, w czarnej sukni i mikroskopijnym koronkowym fartuszką. Zdaję się zupełnie na nią w wyborze potraw i rozglądam się ciekawie naokoło siebie.

Bardzo tu jest miło. Zebrane grupkami wokół stolików panie, wszelkiego wieku i typu, jedzą zwa-wo, rozmawiają i śmieją się swobodnie. Eleganckie sylwetki usługujących snują się bez szelestu, opiekuńczo jakoś i przychylnie zajęte swymi gośćmi. Bielizna stołowa jest nieposzlakowane świeża, co chwila ktoś ze służby wynosi całe narecza raz użytych serwet i obrusów. Wszędzie na stołach kwiaty, oraz lód w wysokich szklankach wody. Ciepło, gwaro, zacisznie...

To, co jemy, niezbyt mi smakuje. Ostrygi z ostrym, pomidorowym sosem — danie, które tu wcale zbyt kłownem nie jest; jakaś cienka, ale zato bardzo pieprzna zupka, solone masło do sucharka; sok pomarańczowy z lodu; gruby, krwisty befsztyk z kukurydzą wyłuskaną i oblaną mdłym sosem; liść zielonej sałaty, napełniony kawałkami pomidorów, ananasa, banana w majonezie. Na deser „pay“, t. j. ciastko owocowe i kawa ze śmietanką. Mistress L. zamienia ukłony z kilku paniami przy innych stolikach, raz nawet wstaje i podchodzi do kogoś, zainterpelowana przez głośnie i przyjazne: „Hallo, Mary!“ Potem jednak troszczy się ciągle o mnie i opowiada mi o swoim klubie.

Dowiaduję się, że należy on do najbardziej „fashionables“ w Chicago. Został założony przez ludzi bogatych, tak, że na domu niema ani grosza długu, a dostać się doń jest dosyć trudno: uważają tu bowiem nietyle na finanse, co na przynależność towarzyską



Mauzoleum dla zmarłych członków jednego z klubów amerykańskich.

członkiń. W wyjątkowym pod tym względem położeniu znajdują się żony dyplomatów, bo z racji godności swych mężów mogą być wprowadzone do każdego amerykańskiego klubu żeńskiego na prawach członków honorowych. Mają przytem i taki przywilej, że żadnych składek nie płacą...

Wyrażam zdziwienie, iż tyle kobiet w Ameryce jada poza domem. Przecie gdziekolwiek zajść w porze drugiego śniadania: czy to do hotelu, czy do klubu, czy do restauracji — wszędzie pełno pań. Nie mogą to być wszystko podróżniczki, albo samotnice bez domu.

— Oczywiście, że nie! — śmieje się Mistress L.— To są przeważnie kobiety zamężne i w znacznej części panie domu, bo pracownice biurowe lub sklepowe mają „lunch-roomy“ w swoich zakładach. Ale cóż pani chce? Mąż od rana jest w swoim „Ofisie“ (biurze) i wraca dopiero koło 6-ej na obiad. Dzieci — w szkole, gdzie jedzą również i skąd przychodzą o 3-ciej. Samej siedzieć nudno. Przy tutejszych ułatwieniach technicznych, gospodyni amerykańska szybko uwinie się ze swemi obowiązkami domowymi, choćby nawet musiała zajmować się sama grubą robotą, a potem wyświeży się, wystroi i jedzie sobie własnym „carem“ do miasta po sprawunki i na lunch. Zje śniadanie w miłym towarzystwie, pogra w bridż'a, pogawędzi przy papierosie. Chce pani? Pójdziemy zwiedzić urządzenia klubu. Pokażę pani, jak nam tu jest miło i wygodnie.

Pani L. podpisuje rewers, podany jej przez panienkę usługującą. Koło 1-go każdego miesiąca przysła jej rachunek do domu. Żadnych pourboir'ów. Zamieniamy ukłony i uśmiechy z sekretarką i wyruszamy na wędrowkę po gmachu.

Jestem oczarowana i zachwycona! Cóż za komfort, co za zbytek i wygoda! Kobieta w Ameryce — to naprawdę istota uprzywilejowana i rozpieszczona pod względem towarzyskim. W takim klubie mogłaby śmiało żyć i umierać, nie stąpnawszy nogą poza



Lake Shore Athletic Club.
Hotel dla członków tego klubu.



Drake Hotel and Tower. Szereg gmachów nad jeziorem Michigan.

jego mury. Może tu nocować, w wygodnych, jasnych pokojach hotelowych; kąpać się w marmurem wykładanych, śnieżno białych łazienkach; pływać w olbrzymim basenie z ciepłą wodą; używać wszelkiego rodzaju gimnastyki, gier, sportu, masażu. Może strzyć i trefić włosy, poddawać się najwyszukańszym zabiegom kosmetycznym w zbyt kownie urządzonych odpowiednich zakładach.

Ma pokoje do pisania, do muzyki; biblioteki i czytelnie, palarnie i buduary do poufnych spotkań; olbrzymie, całe lustrzane sale balowe, restauracje, kawiarnie i herbaciarnie. Kupi sobie na dole suknię, klejnot, kwiat, perfumy i tysiączne toaletowe drobiazgi. Może wysłuchać odczytu, przejrzeć dzienniki i „magazines“, załatwić korespondencję, nabyć bilety do kina, kartę kolejową czy okrętową. Może zaprosić przyjaciółkę na obiad, lub urządzić przyjęcie na sto osób.

Jeśli miała przykrość w domu, lub kłopoty ze służbą — może przyjść do klubu odpocząć i rozerwać się, lub przyprowadzać, jak długo trzeba, całą rodzinę na posiłek. Przyjmą ją zawsze z tym samym dyskretnym, miłym uśmiechem, usłużą, doradzą, nakarmią, wypielęgnują, zapewniając jednocześnie najzupełniejszą swobodę ruchów i poczynań. Ona tu czuje się i jest faktycznie osobą najważniejszą, prawdziwą panią, pieszczone i psute dziecko w zaczarowanym państwie zbytku i wygody. Ona tu króluje — choćby w domu niewolnicą była i kopciuszkiem, jak to się kobietom zdarza — nawet w tak łaskawej dla nich Ameryce.

Poważna, „zasadnicza“ i społecznie myśląca Europejko, dla której piszę te słowa! Nie sil się na wyszukanie w istocie samej amerykańskich klubów kobiecych idei wysokiej i chmurnej, zadumania się nad potrzebami duszy jednostki, czy duszy zbiorowej, nad podniesieniem tej duszy do pracy nad sobą. Tu, bądź przekonana, chodzi tymczasem o ciało, o zadowolenie zmysłów, o uczynienie codzienności powabną i mniej nudną. Co przyszłość przyniesie — zobaczymy.

STANISŁAWA JAROCIŃSKA-MALINOWSKA

SPRZYMIERZENIE PRZECIWNIKIEM

Kartki z historii literatury kobiecej we Francji

W życiu towarzyskim i społecznym Francji działalność kobiety wyraziła się głównie pod dwiema postaciami: z jednej strony przez kształtowanie języka i obyczajów w salonach arystokracji i wielkiego mieszczaństwa, z drugiej zaś przez pracę autorską.

Od wczesnego średniowiecza do chwili obecnej ciągnie szlakiem historii Francji barwny korowód postaci kobiecych: muzy, egerje, sybille, którym kultura galijska zawdzięcza specjalny swój wdzięk i urok, a także niejedno ziarno zdrowej, szlachetnej myśli.

Już w szóstym wieku zakonnice francuskie oddają się pracy umysłowej i pisarskiej, nie ustępując pod względem wykształcenia i talentu uczonym zakonnikom swojej epoki. Święta Radegunda komponuje elegje łacińskie.

Nieco później kronikarka Baldowinja pisze żywot św. Radegundy. W VII w. św. Gertruda umie napisać znaczną część Pisma Świętego. Klasztory żeńskie tak są pochłonięte pracą literacką, że Karol Wielki specjalnym piśmem zabrania zakonnicom ukłaniania i rozsyłania wierszy.

Średniowieczne kroniki klasztorne zachowały imiona mniszek, które pisały traktaty wychowawcze, encyklopedje wiedzy ówczesnej, utwory dramatyczne. Kobiety późniejszego średniowiecza, wśród których jaśnieje blaskiem talentu i uczoności Heloiza (wiek XII), uprawiają poezję „w wierszach rymowanych i metrycznych“, oddają się też z zapałem filozofii scholastycznej. To wszystko dzieje się jednak wyłącznie w obrębie murów klasztornych; na szerokim świecie francuskim kobieta uważana jest za istotę niższego rzędu, pozbawioną woli i inteligencji. „Fabliaux“ najdawniejsze przypisują jej wszystkie wady, w szczególności zaś kłamstwo, przewrotność, gadatliwość, głupotę, zmysłowość. Ton tych utworów jest wysoce obraźliwy.

I oto w połowie XII w. niespodziewany promień słoneczny poezji i rycerskości stroi w blaski królewskie tę wzgardzoną i ośmieszoną istotę, a do stóp jej chylą się kornie rzesze mężczyzn-niewolników.

Prąd rycerskiego uwielbienia dla kobiety płynie z Południa i utrwała się we Francji podczas panowania Eleonory Akwitańskiej, żony Ludwika VII-go, opiekunki trubadurów, której córki oraz inne księżniczki francuskie wieku XII-go — XIII-go są muzami poetów i sędziami ich utworów. Troyes, Provins, Bar, Arras — oto miejsca zebrania towarzyskich („cours d'amour“), poświęconych omawianiu zagadnień wyrafinowanej miłości dworskiej. I tutaj to właśnie rozpoczyna się rola kobiety w życiu salonowym Francji, które do dziś nieledwie stanowi kościół życia literackiego tego kraju. W tej atmosferze twórczość kobieca

świecka zaczyna pięknie rozkwitać. Od połowy XII-go do połowy XIII-go wieku naliczyć można więcej, niż dwadzieścia trubadurek. Uczeni specjaliści podkreślają w ich utworach szczerłość i głębię uczucia.

Najwybitniejszą poetką tego okresu jest Marie de France, po której zachowało się dwanaście prześlicznych, tkliwych pieśni miłosnych. Pieśni te, według kompetentnego zdania profesora Bédier, są pierwowzorami późniejszych romansów idealistycznych, jak również poematów Arjosta i Chaucera.

Cały koniec średniowiecza, wiek XVI-sty i XVII-sty — wypełnia tak zwana „querelle des femmes“, w której znów przychodzą do głosu wrogowie kobiet, odmawiając im praw i uzdolnień do życia umysłowego, wyśmiewając ich dążności wyzwolenicze. Kobieta coraz częściej bierze udział w tej szermierce, chwytając za pióro w obronie już nietylko swoich interesów, ale i swojej godności ludzkiej. Wiek XVI jest we Francji wiekiem wykształconych i utalentowanych dam dworskich i księżniczek, na których czele stoi Marguerite de Navarre, autorka „Heptameron“, znająca języki starożytne i parę nowoczesnych — umysł wybitnie tolerancyjny, opiekunka wolnomyślnych poetów i uczonych w niebezpiecznym dla nich okresie namiętnych sporów i walk religijnych.

W tym samym XVI-ym wieku rzuca blaski na całą Europę szkoła poetek Ijońskich, przeważnie mieszczek. Gwiazdą pierwszej wielkości w tej świetnej konstelacji jest Louise Labé. Najważniejszą część spadku po „płomiennej muzie Rodanu“ stanowią 24 sonety miłosne o akcencie tak przejmującym i tak głębokim, że podobny usłyszymy jeszcze tylko w listach p. de Lespinasse, lub w pójzjach p. Desbordes-Valmore.

Wiek XVII-ty jest wiekiem szerszego i bardziej bezpośredniego wpływu kobiet na bieg życia literackiego. „Niebieska komnata“ p. de Rambouillet, a potem salony innych wykwiłtniś („précieuses“) są kuźnicami wytwornych manier, pięknego wysłowienia, czystego smaku artystycznego; dają wybitne pisarki w osobach p. de Lafayette, p. de Scudéry, p. de Sévigné. Wszystkie zaś kobiety z towarzystwa interesują się gorąco sprawami języka i literatury; wiele z nich pisze pamiętniki i listy, stanowiące dużą pomoc przy badaniu życia współczesnego, szczególnie ze strony obyczajowej.

Sprawa szkolnictwa kobiecego, o której ciągle wiele pisano, nie posunęła się naprzód przez cały wiek XVIII-ty. Napoleon zlekceważył ją celowo, to też doprawdy, trudno zrozumieć, że w tych warunkach

kobiety mogły i umiały odgrywać tak wybitną rolę w życiu kulturalnym Francji.

W wieku XVIII-ym mężczyźni są naogół przyjaźnie usposobieni dla sprawy kobiecej. Jakaż obfitość drobnych talentów kobiecych! poetek, powieściopisarek, moralistek, pamiętnikarek. Ale wielkiem nazwiskiem literackim kobiecym będzie dopiero nazwisko p. de Stael, stojącej na pograniczu wieku XVIII-go i XIX-go, teoretyczki romantyzmu, wyznawczyni Rousseau, przeciwniczki Napoleona, autorki powieści, rewindykujących prawa kobiet do człowieczeństwa, do miłości, do sławy, do życia pięknego i niezależnego. Ideał ten przyświecać też będzie pisarkom francuskim wieku XIX-go i doby obecnej. W jaki sposób go realizowały i realizują, jeszcze o tem pomówimy.

Mało starano się dotychczas o to, by wysiłki owych tysięcy i tysięcy kobiet, które zwykle pracowały w warunkach gorszych, niż mężczyźni, wy dobyć na jaw, ocenić; złożyć do skarbcza narodowego wartości, które przetrwały, i ogłosić, komu się je zawdzięcza. Pomimo, bowiem, swojej powierzchownej galanterji, francuzi w gruncie rzeczy są antifeministami, i od głębokiego, uniżonego ukłonu do lekceważącego uśmiechu pod adresem tej samej kobiety, w tejże samej chwili — jest u nich znacznie bliżej, niż u innych mężczyzn całego świata cywilizowanego.

Mamy na to świeży dowód w książce J. Larnac'a: „Historja literatury kobiecej we Francji“.¹⁾

Książka ta jest pierwszą próbą historycznego ujęcia roli, jaką kobiety odegrały w literaturze francuskiej²⁾. Pod tym względem przedstawia ona dużą wartość, gdyż autor wykazuje dokładną znajomość przedmiotu i czerpie ją z najlepszych źródeł.

Zgodnie ze swoim zamierzeniem, sformułowanym w przedmowie, autor przedstawił w każdej z omawianych epok poszczególne etapy sporu zwolenników i przeciwników życia umysłowego kobiet.

Wypowiada się wszędzie z wielką sympatją i uznaniem dla pracy autorskiej kobiet, a nawet czasami pochwały jego i komplementy grzeszą zbytnią przesadą i pochopnością. Należy on jednak do takich przyjaciół, na których widok wolno nam, kobietom, prosić Boga, by nas od nich bronił: bo oto pod różami, któremi tak skwapliwie wieńczy czoła niewieście, ukrywają się ostrza tez bezwzględnych, podających, jako regułę bezapelacyjną, to, co się wprawdzie daje często zauważyć w twórczości kobiecej, jednak niekoniecznie musi stanowić istotne jej cechy. Tak, na przykład, z faktu, że wiele kobiet, zawiedzionych przez życie, znajdowało pociechę i grunt pod nogami w sferze zainteresowań intelektualnych wogóle, a w działalności pisarskiej w szczególności — Larnac wyprowadza wniosek, że dla kobiety szczęście osobiste i harmonijne pożycie rodzinne wyklucza możliwość pracy literackiej i czyni tę pracę niepotrzebną.

Innym, zbyt często powtarzanym — szczególnie

we Francji — „pewnikiem“, dotyczącym twórczości kobiecej, jest twierdzenie, że kobieta potrafi obracać się jedynie w świecie faktów: do świata myśli broni jej dostęp archanioł z ognistym mieczem... sceptycyzmu i niedowierzania męskiego.

Larnac powtarza także „za panią matką (a raczej: za panem ojcem) pacierz“, że kobieta może być mistrzynią jedynie w zakresie twórczości lirycznej: z chwilą, gdy się kończy przeglądanie w lustrze, kończą się również możliwości kobiece w literaturze. Pozostawiając tymczasem na boku kobiety innych narodowości, my, polki, na szczęście, możemy twierdzeniu temu zaprzeczyć z całą stanowczością, powołując się choćby na epicki charakter niektórych utworów Orzeszkowej, Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Naglerowej i innych autorek.

Obarczenie dziedziczne przesadami, stworzonymi i zaakredytowanymi przez mężczyzn, jest u Larnac'a tak silne, że zadaje on sobie z całą powagą pytanie, czy twórczość pisarska kobieca jest czemś normalnem. I tutaj właśnie „przyjaciel“ kobiet wywija zręcznego koziołka, który go przerzuca z płaszczyzny twórczości pisarskiej na płaszczyznę twórczości... fizjologicznej. Pozem — z godną lepszej sprawy i lepszej wiary, powagą — tak rozstrzyga całą kwestję.

„Komponować dzieło sztuki — to znaczy tworzyć. Niechaj mężczyzna tworzy maszyny, systemy filozoficzne, dzieła sztuki, czy religje: to wszystko są rzeczy naturalne... Co zaś dotyczy kobiety, zagadnienie to wygląda zupełnie inaczej. Ona tworzy bowiem w ciągu długiego czasu, z wielkim trudem, a potem jeszcze musi utrzymywać przy życiu to, co stworzyła. Jeśli więc jej życie układa się zgodnie z prawami natury, to musi ono być całkowicie poświęcone sprawie tworzenia. Jakżeby wtedy mogło w niej powstać pragnienie tworzenia czegoś jeszcze innego?“

Nie trzeba specjalnie wyostrzonego zmysłu krytycznego, by odrazu spotrzec dwa zasadnicze błędy tego rozumowania: utożsamienie pojęcia twórczości w dwu najzupełniej różnych dziedzinach i rozszerzenie obowiązku rodzenia na całe życie kobiety. Tembardziej niezgodnie z rzeczywistością wygląda takie stawianie kwestji, że Larnac, mówiąc o kobietach, przytacza i ma na myśli wyłącznie kobiety francuskie ze sfer inteligenckich, w których żadna kobieta nie poświęca całego swego życia obowiązkowi rodzicielki i karmicielki.

Przyjąwszy więc z wdzięcznością od młodego i istotnie utalentowanego historyka literatury kobiecej Francji to wszystko, co stanowi stronę informacyjną jego książki, lekko, żywo i ciekawie napisanej — przejdziemy do porządku nad jego wnioskami i uogólnieniami, jak nad wieloma z pośród nich przeszło już do porządku samo życie.

¹⁾ Jean Larnac: „Histoire de la littérature féminine en France“ — str. 296. Editions Kra. 56 rue Rodier, Paris.

²⁾ Jak była potrzebna, świadczy o tem fakt, że istniejąc od dwu lat niespełna, doczekała się już trzeciego wydania.

WYSTAWA PAMIĄTEK PO ASNYKU

Wystawa pamiątek po Asnyku, urządzona staraniem Komitetu uczczenia poety, jest jakby cichem „memento” tych szarych lat popowstaniowych, kiedy ciężka chmura beznadziejności zawisła nad społeczeństwem polskim, a życie narodowe miało tylko dwa ujścia: rodzinę i poezję. Życie skupione, pozabawione blasku, pozostawiło ślady głębokie w duszach, nikłe w zewnętrznych objawach.

Te stare meble: wielka, rozłożysta kanapa, na której zasiąść mogły wygodnie trzy pokolenia: staroświeckie lustro, w którego głębię zapadło tyle, niegdyś żywych, dziś dawno zgasłych twarzy; szafka biblioteczna, pękate biurko, trochę drobniaków, związanych z dzieciństwem poety, pamiątek rodzinnych — oto przedmioty, które ożywiają wspomnieniem.

Ciekawa gablotka, w której zgromadzono wszystkie fotografie Asnyka, od niemowlęstwa aż do zgonu. Możemy tu śledzić budzenie się ducha na twarzy młodzieńca, stopniowe krystalizowanie się wyrazu na obliczu dojrzałego męża, w filozoficznej zadumie pochylonego „nad głębiami”.

Wzruszająca gablotka „urodzin i śmierci”. Metryka z jednej strony, maska pośmiertna i ostatnie autografy, drżącą już kreślone ręką — z drugiej. Poza to dużo rękopisów, listów, druków, wydań poezji z rozmaitych czasów. Gazety z żałobnymi wspomnieniami.

Wreszcie odlew gipsowy tablicy pamiątkowej, oddanej Towarzystwu Tatrzańskiemu i wmurowanej w ścianę schroniska na Gąsienicowej Hali. Podobna tablica umieszczona została na gimnazjum w Kaliszu (gdzie poeta pobierał nauki), z fragmentem pięknego wiersza „Do młodych”.

Dużo prawdziwego pietyzmu, dużo serdecznego ciepła wieje z tej wystawy, której celem było przypomnienie społeczeństwu polskiemu o jednym z tych, co umieli w najcięższych czasach niewoli krzepić ducha narodu u czystych źródeł poezji.

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Jan Wiktor: „Gołębie przy kościele”. Kraków. Nakładem drukarni „Czasu”.

Jest to niesłychanie rzadka w dzisiejszych czasach emanacja duszy franciszkańskiej: marzenie, które przemawia do czytelnika nie wprost, ale za pośrednictwem duszy gołębi, niejako pod ich „figurą”. W tej formie wypowiedziane się poetyckiego ukrywa się wstydlivość wobec własnych uczuć, nadezłość swoistej organizacji psychicznej, stworzonej raczej do samotniczej kontemplacji, niż do brnięcia „w zbiegowisku wolań, w tłoku łokci, pięści”... w „pośpiechu lajdactwa, krzywdy, wyzysku na jasnym bruku bożego życia”.

Temu zgiełkowi tłuszczy ludzkiej, uganiania się za zyskiem, przeciwstawia poeta gromadne życie gołębi, tych służebników bożych, którzy „z serca słonecznego przesypują w serce człowieka, w cień jego myśli — zapomniany strzęp bożego słowa — promień, który ziemi nie dotknął”, i „nigdy serc świata podpalić nie mogą — daremni podpalacze niebiescy — niosący łunę serca”.

W siedmiu obrazkach, z których każdy jest filigranem prozy poetyckiej, zamknięta została tęsknota człowieka do

wszeghogniającej i wszystko rozumiejącej miłości kosmicznej, która jednaką opieką i troską otacza sprawy ludzkie i ptasie, a ponad ludzką wykrętną etykę podnosi proste i niewinne nakazy natury.

„O, serce, strudzony przechodniu!” — Z tego westchnienia, głębokiego, jak ludzkie zmęczenie, urodziła się ta prześliczna książka, krzepiąca, jak kubek krynicznej wody. Kunsztowna proza, nasycona liryzmem, nabrzmiała niejako krwią serca, w każdym zdaniu, w każdej metaforze pulsuje jego rytmem.

Obrazowanie Jana Wiktora polega na operowaniu zjawą, jako realnym faktem poetyckim.

„Gołębie przy kościele” — to jedna z tych wyjątkowych dziś książek, do których powraca się po jednorazowym ich przeczytaniu. Jest to książka - przyjaciel. Wydana w ograniczonej ilości egzemplarzy, jako druk bibliofilski, powinna jaknajprędzej ukazać się w powtórnym wydaniu, skromniejszym, dostępnym dla szerokiej warstwy, musi stać się przyjacielem rzesz. Poszczególne obrazki, jak np. śmierć gołębia, albo opowieść o Chrystusie, zranionym przez jastrzębia, powinny wejść do tak starannie dziś opracowywanych wypisów dla młodzieży.

Nie godzi się, aby „hałas uliczny zdeptał dobre wyrazy, tchnienia dusz miłosiernych, które wonią seraficznych kwiatów oblewają usta ludzkie”.

S. P. O.

G. A. Borgese: „Rubé”. — Przekład Stelli Olgierd, nakładem Polskiego Instytutu Wydawniczego „Sfinks”.

Indywidualizm, wypierany przez pewien czas z literatury, powraca znowu w dawnym rynsztunku. Jednostka wylania się z masy, aby sobą wyjaśnić zagadnienia społeczne, lub psychologiczne. Egotyzm w walce ze środowiskiem, warunkami, wreszcie z sobą samym — wyraża się w dramatycznym dzianiu się, a przygotowany przez psychoanalitików grunt naukowy pozwala na uogólnienie psychologicznych wniosków. W ten sposób jednostka staje się — typem.

Taką „typową” jednostką jest właśnie Rubé Borgese’a. Założeniem jego psychiki jest ambicja i uczucie małowartości. Z takich właściwości ducha i charakteru może wyrósć człowiek silny, albo nawet genjusz, ale gdy uczucie małowartości weźmie górę, człowiek musi nieubłaganie zdążyć ku zagładzie. Nadmier-na, pałubicznie rozszechpiająca autowiwisekcja osłabia wreszcie celowość woli.

Filip Rubé jest typowym hypochondrykiem psychicznym, który w ciągłych wewnętrznych dyskusjach ściera swoją energję życiową. W okresie „fin de siècle’izmu” byłby Rubé tylko nieproduktywnym pesymistą, byłby jednym z wielu, ale gdy mu drogę zastąpiła wojna, gdy nerwami poznał niespółmierność straszliwej rzeczywistości z teoretyczną kompozycją mózgowca — załamał się.

Pierwszym ciosem była świadomość — tehorzostwa. Nie mógł się już podźwignąć z tego i, zamiast dążyć i działać, staje się bierny. Wtedy przewagę nad nim zyskują siły zewnętrzne — nazwijmy je: warunkami, okolicznościami, czy wreszcie przypadkami. Rubé jest już ich igraszką i dlatego dzieje jego życia są niezwykle. Spełnia czyjeś nakazy, jak w śnie somnambulicznym i choć nie posiada ani fantazji, ani tupetu, staje się „awanturnikiem”.

Borgese, jeden z najciekawszych pisarzy włoskich, przeprowadził analizę psychologiczną swojego bohatera z drobiazgowością niesłychaną, rzecz można — bez miłosierdzia. Bez patosu, trzeźwo i niewątpliwie krytycznie odnosi się do tego wyko-lejeńca, kuzyna Hamletów i Wertherów, do tego sui generis powojennego bezdogmatowca.

Przekład p. Stelli Olgierd bardzo dobry, oddaje trudny, ozdobny styl włoskiego pisarza.

H. N.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Dom Kobiet” — sztuka w III aktach Zofji Nałkowskiej. Reżyserja Marji Przybyłko-Potockiej. Dekoracje Karola Frycza.

Dotychczasowy rozwój twórczy Zofji Nałkowskiej szedł drogą konsekwentną, zakreślał linię zlekka falistą, bez raptownych skoków i załamania. Jej postawa wobec zjawisk psychicznych, które ją interesowały przedewszystkiem, ulegała powolnej, ale stałej ewolucji; jej chłodny intelektualizm niepostrzeżenie nasiąkał emocjonalnością. Nałkowska coraz bardziej zbliżała się do człowieka, wchodziła w niego, zrastała się niejako z duszą swych bohaterów.

Metodę autentyczności zjawisk obserwowanych zaczynała stopniowo rugować autentyczność przeżycia, wymagająca zamiast drobiazgowej analizy, mocnych skrótów pespektywicznych, ujęcia rzeczywistości w przekroju dramatycznym. Stąd zmiana formy wypowiedzania się u Nałkowskiej, przejście z powieści na sztukę sceniczną, — fakt, który wzbudził sensację w świecie literackim i czytelnictwem, okazał się w praktyce prostą konsekwencją normalnego wzrostu psychicznego. To nie Nałkowska się zmieniła: to nastąpiło przegrupowanie pewnych, znanych nam już pierwiastków jej indywidualności, nowa reakcja twórcza na odczynniki uczuciowe.

W pierwszym akcie „Domu Kobiet” odnajdujemy Nałkowską z „Charakterów”. Ta gromadka istot, wycyfanych z życia, to galerja świetnych portretów, każdy o obliczu własnem, a tak wyrazistym, że zapomnieć o niem niepodobna. W tej porębie kobiecej każdy pienuś ma swoje miejsce, a wszystkie kurczowo wrosły w jedną i tę samą glebę — w ziemię umarłej miłości. Wirtuozostwo w kreśleniu tych postaci tak absorbuje autorkę i widzów, że i jedna i drudzy zapominają o istocie dramatu, o akcji; — rysunek charakterów wysuwa się na pierwszy



„Dom Kobiet” Zofji Nałkowskiej.
Honorata Leszczyńska w roli Julji.

plan w tej sztuce, której cały środek ciężkości przesunięty jest w przeszłość, w której wszystko się już stało, co się stać miało, i nie pozornie nie może ulec zmianie.

Ale wprędce okazuje się, że ta mozaika kobieca — to tylko tło, że ta przydługa nieco ekspozycja, w której zaznajamiamy się z postaciami, jednakże potrzebni autorce do uzasadnienia pewnej tezy psychologicznej, ale bynajmniej nie niezbędni w dalszym rozwoju akcji, — to jak gdyby przedsiönek dramatu, nawierzchnia tych podziemi, do których zejść będziemy musieli za chwilę.

Cały ten akt pierwszy ma charakter przejściowy. Jest to jakby jeneralna próba i przegląd własnych sił, mobilizacja rozporządzałych wartości, którym kazano wznieść nadbudówkę powieściową nad mocnem sklepieniem dramatycznym.

W akcie drugim wiązania tego sklepienia, zrazu mglisto tylko zarysowane, zwierają się w łuk o śmiałym rzucie i napięciu. Ujawnia się zamaskowana dotąd oś dramatu — walka, którą bohaterka sztuki, Joanna, prowadzi z widmem własnego grzechu. Joanna straciła ukochanego męża, Krzysztofa Nielewicza, ale nie sama śmierć jego jest przyczyną jej rozpacz. — Gdybyż tylko umarł! — Ale ona go zdradziła w przystępie bezmyślnego szału. Umarł i tajemnicę jej niewyznanego grzechu zabrał z sobą do grobu. Świadomość niemożliwości ekspiacji wobec umarłego doprowadza Joannę do kresu boleści, której wyrazem jest jej spowiedź przed babką. Tragizm Joanny jest tem głębszy, że towarzyszy mu całkowita bezsilność. Niema dla niej ratunku. W walce człowieka żywego z umarłym zawsze umarły pozostaje zwycięzcą.

Tymczasem niespodziane wtargnięcie do cichego domu żaloby młodej dziewczyny, Ewy, przerzuca konflikt z płaszczyzny psychologicznej na ściśle życiową. Ta Ewa — to owoc nielegalnej miłości Krzysztofa, tego ubóstwianego Krzysztofa, człowieka „bez skazy”, który, jak się okazuje, w ciągu całego swego pożycia z żoną, miał drugą rodzinę na uboczu.

I tu następuje jeszcze tragiczniejsze załamanie w duszy Joanny. „Jej” Krzysztof teraz dopiero umarł naprawdę; zamiast niego zjawia się jakiś inny, obcy człowiek. — A może Krzysztofa wcale nie było?! — woła Joanna, której myśl, pod ciężarem niespodzianego ciosu, gubi się w ciemnościach.

Scena, kiedy naprzeciw siebie stają dwa tragizmy kobiece, zaplątane w błędne koło kłamstwa, które żyje dłużej, niż człowiek, kłamstwa, które się odnawia w pośmiertnem życiu czynów ludzkich — ta scena należy do najbardziej wstrząsających momentów naszego nowoczesnego dramatu.

Ewa opuszcza Dom Kobiet, posłuszna wołaniu mężczyny. Ten głos z za sceny: „Ewo, Ewo!” — ma znaczenie symboliczne i uniwersalne. To głos miłości, za którym pójdzie zawsze kobieta, wierna swemu prawdziwemu przeznaczeniu. I na tem polega istotna kobiecość „Domu Kobiet” — sztuki, dalekiej od feminizmu, gdyż właściwą sprężyną jej akcji jest mężczyzna.

Nałkowska-intelektualistka chciała w niej przeprowadzić dwie tezy: jedną, że między człowiekiem, a człowiekiem jest ciemność; drugą — że wszystko się zmienia, że nawet ludzie umarli przerażają się w myślach i uczuciach tych, co zostali. Nałkowska-kobieta złożyła w niej jeszcze jedną ofiarę na ołtarzu „niedobrej miłości”. Ta droga była nieomylną: sztuka stoi dzięki swym wartościom emocjonalnym, nieideowym, zaś reżyserja Marji Przybyłko-Potockiej z pietyzmem podkreśliła wszystkie subtelności dialogu, uwypukliła szlachetną prostotę języka. Może tempo było nieco monotonne w pierwszym akcie, ale w decydujących scenach aktu drugiego i trzeciego uchwycono szczęśliwie moment bezpośredniości.

Obsada sztuki pierwszorzędna. Zmobilizowano takie siły dawnego teatru, jak Barszczewska i Honorata Leszczyńska, zwerbowano Siemaszkową. Rolę Joanny należycie pogłębiła i precyzyjnie opracowała Marja Przybyłko-Potocka. Młodziutka artystka Karolina Lubieńska w roli Ewy wniosła dużo świeżej bezpośredniości i szczerego wycucia.

S. P. O.

ZE SPORTU KOBIECEGO

Tegoroczny sezon zimowy nie bardzo dopisał, ze względu na lekką zimę i brak opadów śnieżnych. Pomimo tego nie obyło się bez imprez sportowych, gdyż w styczniu mieliśmy zawody narciarskie pań w Zakopanem oraz wielką uroczystość z racji obchodu 10-lecia istnienia sportu polskiego.

Dwie sportowe organizacje kobiece: „Warszawski Klub Wioślarek“ i znane z wyczynów lekko-atletycznych żeńskie Gniazdo Sokoła „Grażyna“, zostały zaszczytnie wyróżnione w dniu 9 lutego b. r. z okazji 10-lecia, przez nadanie dyplomów honorowych za zasługi dla sportu polskiego.

Są to pierwsze i najwięcej zasłużone sportowe organizacje kobiece. Powstanie ich datuje się jeszcze z przed wojny. Żeńskie Gniazdo Sokoła „Grażyna“, doniedawna celujące w pokazach i popisach gimnastycznych, od kilku lat wprowadziło u siebie lekko-atletykę, w której, dzięki ofiarnej i cennej pracy naczelniczki p. F. Tryburskiej oraz p. K. Wejracha, osiągnięto świetne wyniki. Dziś „Grażyna“ ma już własne boisko, a zawodniczki jej w spotkaniach lekkoatletycznych i grach sportowych są najgroźniejszymi przeciwniczkami i stale zajmują pierwsze miejsce w kraju.

„Warszawski Klub Wioślarek“ jest pierwszym klubem sportowym kobiecym, jaki powstał w Polsce. Założony w r. 1912, jest pionierem całego polskiego sportu kobiecego, a w wioślarstwie kobiecym zajmuje stale przodujące miejsce. Klub ten posiada piękną tradycję, gdyż zawsze był zasłużoną placówką zarówno społeczną, jak i sportową. Znany jest i ceniony za swą sprężystą i jaknajlepszymi intencjami ożywioną działalność, zarówno na polu wychowania fizycznego, jak i pracy organizacyjnej, która może być wzorem dla pokrewnych organizacji.

O pomyślnym rozwoju tego klubu świadczy zarówno jego liczebność (liczy dziś około 700 członkiń), jak i wyniki, osiągane na zawodach. Zwycięstwo, odniesione w 1929 nad reprezentacją, tegorocznym wicemistrzem Anglii, stawia wioślarki polskie na przodującym miejscu wśród światowej elity wioślarstwa kobiecego.

Wielką i bezsprzeczną zasługą tego ruchliwego klubu jest również nawiązanie bliskiego i serdecznego kontaktu z pokrewnymi organizacjami kobiecymi zagranicą. Pomimo przeszkód i nieufności, jaka panowała w zagranicznych klubach w stosunku do nas, nasze dzielne wioślarki potrafiły nietylko ją przela-

mac, ale zdobyć zwycięstwo i zainteresować obcych naszym sportem kobiecym.

Do dzisiejszego dnia Warszawski Klub Wioślarek jest rzecznikiem wszystkich kobiecych klubów wioślarskich w P. Z. T. W. (Polski Związek Towarzystw Wioślarskich). Nie poprzestając na posiadaniu w zarządzie swej przedstawicielki, dąży do nawiązania ściślejszego kontaktu z innymi klubami kobiecymi, by stworzyć oddzielny wydział wioślarstwa kobiecego, w którym mogłyby współpracować delegatki wszystkich klubów i mieć swój własny referat w P. Z. T. W., którego dotychczas kluby kobiece nie mają.

Warszawski Klub Wioślarek nie poprzestaje tylko na tym, co zdobył dla siebie, ale z takim samym oddaniem — jak świadczą wszystkie wnioski i projekty, z jakimi występuje od szeregu lat na sejmikach wioślarskich — pracuje dla ogółu, zawsze z jednym celem: przysłużenia się całemu wioślarstwu kobiecemu.

Klub ten w okresie 18-tu lat swego istnienia, zdobył i stworzył rzeczywiście wiele: skromną, lecz szybko rozrastającą się przystań, tabor, starannie utrzymany, oraz wykształcił doskonale trenerki i instruktorki, których używa chętnie innym. Ież młodzieży szkolnej korzystało w ostatnich latach z urządzeń i pracy Warsz. Klubu Wioślarek! Wszyscy, którzy korzystają z czynności dzielnych wioślarek, oceniają należycie ich pracę i zasługi, i tem tłumaczy się popularność tego klubu i poważanie, jakim cieszy się zarówno w sferach sportowych, jak i społecznych.

Zaszczytnemu wyróżnieniu „Grażyny“ i „Warszawskiego Klubu Wioślarek“ możemy przyklasnąć, życząc im dalszej, równie pięknej i pomyślnej działalności i rozwoju.

Z okazji dziesięciolecia za zasługi dla rozwoju sportu, otrzymały dyplomy honorowe zawodniczki: p. Konopacka-Matuszewska, p. Ziętkiewiczowa, i p. Loteczkowa. Szkoda, że nie pomyślano o wyróżnieniu naszej bezkonkurencyjnej Bronki Staszela-Polankowej. Z organizatorek wyróżniono: p. J. Gebethnerównę i p. F. Trybalską. Z prasy: p. redaktorkę K. Muszałównę z P. U. W. F. i referentkę p. W. Prażmowską.

Nasze narciarki od szeregu lat są najlepszymi w Europie. We wszystkich spotkaniach międzynarodowych zwycięsko o sławę polskich narciarek walczyły kolejno: pp. Ziętkiewiczowa, po niej Loteczkowa, a od dwu lat, młodzianka góralka, Bronka Staszela-Polankowa.



Nasze mistrzyni w czasie zawodów w Zakopanem.

Polankowa w towarzystwie wioślarek Warszawskiego Klubu.





Konopacka i Staszek-Polankowa na nartach.

Dnia 15 stycznia b. r. młoda zawodniczka żuźł potwierdziła swą wysoką klasę narciarską, zajmując I-sze miejsce w biegu o mistrzostwo Polski. Do biegu tego na przestrzeni 7 kl. stanęło 13 zawodniczek. Wyniki były następujące: *Staszek-Polankowa* 50:51, *Stopkówna* 52:24, *Giewontówna* 56:33, *Hensch (HDW)* 57:02, *Lorenzówna* 57:56, *Wilzanka* 59:39, *Ochotnicka* 59:47, *Szwarcbartówna* 40:11, *Szostakówna* 41:05, *Sumerówna* 45:14.

Z naszą mistrzynią warto zapoznać się bliżej: skromna, inteligentna, zachowująca się z godnością, która każdego musi ująć i dobrze usposobić. Szczerze się przyznaje, że woli najcięższy bieg wygrać, niż długi list napisać. Dzięki przysadzistej budowie, robi wrażenie nieco ocieężalej — ale na nartach wprost fruwa — jest nadspodziewanie zwinna i lekka. Zawdzięcza swoje sukcesy nie tylko wrodzonym zdolnościom i sile fizycznej: dobrze zrozumiany i przeprowadzony trening jest główną podstawą jej sukcesów. Sukcesy zeszłoroczne stawiają ją na czele najwyższej klasy naszych sportsmenek.

Równie młodziutkie, jak ona, *Stopkówna* i *Giewontówna* rokują jak najlepsze nadzieje na przyszłość i stoją na tak wysokim poziomie, że nie są groźne tylko dla naszej mistrzyni, gdyż w spotkaniach międzynarodowych podążają tuż za nią, lecz zawodniczkom zagranicznym zostawiają tylko dalsze miejsca.

Młody wiek naszych najlepszych narciarek, z których każda liczy niespełna po lat 18, zapewnia nam na długo przodujące miejsce i naczelne władze P. Z. N. powinny należycie tę przewagę wyzyskać. Pewnem jest, że o ile bieg pań znajdzie się w programie zimowych Igrzysk Olimpijskich, Polska ma przewagę zapewnioną.

Ponieważ sezon zimowy ma się ku końcowi, mamy nadzieję, że, sezon letni przyniesie nam więcej emocji, że względu na różnorodność dziedzin sportu, a mianowicie: wioślarstwo, pływanie, lekko-atletyka, łucznictwo, tenis, golf, hokej na trawie, oraz gry w piłkę. Nie wątpimy, że nasze dzielne sportsmenki ze zdwojoną energją i zapasem sił staną do intensywnej i owocnej pracy.

M. K.

Kobieta w świecie i w domu

CZY TO PROTEST PRZECIWI ZDROWIU DZIECI?

Są na świecie prawa, które uznać winni wszyscy, jakiegokolwiek byłyby ich opinie polityczne i społeczne, i na których wykonanie muszą się zgodzić, choćby nawet nie szło ono po linii ich doraźnych interesów. Do takich ustaw należy przede wszystkim ochrona zdrowia i życia dzieci.

Pracodawca, korzystający z pracy kobiety-matki, musi ponieść pewne ofiary, aby umożliwić jej wykarmienie dziecka, niedopuścić, aby cherlało, umarło, lub wyrosło kaleką z braku opieki.

Ustawodawstwo pracownicze polskie, które pod względem ochrony praw pracownika jest najlepsze w Europie, a może i w całym świecie cywilizowanym, przewidziało w pierwszym rzędzie ochronę kobiety i dziecka. W r. 1924 sejm uchwalił ustawę o żłobkach fabrycznych, którą wprowadzono w życie od półtora roku. Ustawa przewiduje założenie żłobka dla niemowląt przy każdej fabryce, w której pracuje więcej, niż sto kobiet. Wykonanie ustawy, pomimo b. łagodnej sankcji karnej, idzie w szybkim tempie, żłobki posiada już 81 zakładów, to jest trzecia część wszystkich, przewidzianych ustawą. Jest to rezultat znakomity pracy tak krótkiej, we Francji bowiem np., gdzie prawo to uchwalono w 1917, istnieje dotychczas zaledwie 30 żłobków!

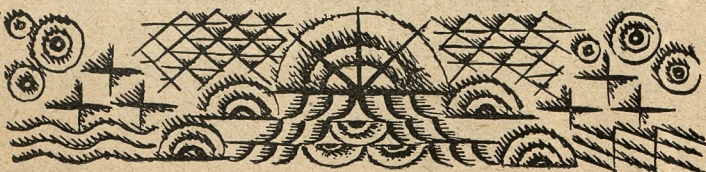
Obecnie ustawa ma być znowelizowana w duchu nałożenia na pracodawców obowiązku świadczeń pieniężnych, organizacją zaś żłobków zajęłyby się instytucje społeczne, jak Kasy Chorych i t. p.; przytem jednak fabrykanci mogą zachować własne żłobki, dla swoich robotnic, co jest tem właściwsze, iż niektóre żłobki przyfabryczne są już urządzone wspaniale i stanowić mogą wzór rodzaju instytucji.

Zdawałoby się, że tak intensywne i pomyślne rozwiązywanie tak ważnej i palącej sprawy, jak ochrona dzieci najbardziej potrzebujących matek, robotnic fabrycznych, powinno spotkać się tylko z uznaniem i najgorętszym poparciem całego społeczeństwa. Niestety, niektóre pisma rozpoczęły dyskusję na temat celowości instytucji, zamieszczając głosy pewnych „sfer zainteresowanych“ z Łodzi i innych centrów fabrycznych. W dyskusji przytaczane są argumenty tej „wagi“, że np. jakaś fabryka w Bielsku zbankrutowała dlatego, że urządziła u siebie żłobek!

Słusznie też inspektorka pracy, znana działaczka i autorka licznych prac o opiece nad dziećmi robotników, p. Halina Krahelska, wystąpiła przeciwko tym wywodom, stwierdzając, że „przymus świadczeń przemysłowca na rzecz ochrony macierzyństwa robotnicy stał się podwaliną ustawy, dziś obowiązującej“. Kobiety przede wszystkim, bez względu na to, do jakiej klasy społecznej należą, powinny głośno i powszechnie poprzeć to stanowisko.

10 MILJONÓW DOLARÓW DLA UCZCZENIA ŻONY.

Małżeństwa multimilionerów amerykańskich nie należą naogół do wyjątkowo trwałych, ani szczęśliwych. To też rzadkim pod tym względem wyjątkiem jest Maurice Falk z Pittsburga. Ofiarował on swemu rodzinnemu miastu 10.000.000 dolarów, jako fundację imienia swej żony, Laury, zaznaczając w akcie fundacyjnym, że pragnie w ten sposób złożyć publiczny hołd wzorowej żonie i matce. Z fundacji tej udzielane mają być stypendja dla uczącej się młodzieży, oraz dla młodych małżeństw, dla ułatwienia im zagospodarowania się. Cała suma fundacyjna wraz z odsetkami ma być rozdana w przeciągu 35 lat.





Siostry Welton przy pracy.

RÓWNA PŁACA — RÓWNA PRACA.

Dzielne angielski nie gardzą żadnym zajęciem, świeżo wzbudzają sensację dwie siostry Welton, 17-letnia Flora i 19-letnia Anna, które codziennie w robotniczych ubraniach pracują wraz z ojcem nad odnawianiem dzwonnicy w Tipton.

ODCZYT RUMUNKI O POLSCE.

Polski Fidac żeński komunikuje nam, że w marcu odbył się w Paryżu, zorganizowany staraniem żeńskiego Fidacu francuskiego, odczyt p. Heleny Vacaresco „O kobiecie polskiej“.

Zebraniu przewodniczyła p. Julja Mazarakowa, przewodnicząca żeńskiego Fidacu w Polsce; obecny był p. Aleksander Chłapowski z małżonką, oraz licznie zebrani słuchacze wszelkich narodowości, którzy gorąco oklaskiwali słowa panny Vacaresco, znanej poetki rumuńskiej.

Po krótkim wstępie pani Mazarakowej, która scharakteryzowała odrębność typów kobiecych różnych państw i złożyła hołd kobiecie rumuńskiej, panna Vacaresco wykazała na tle dziejów historii polskiej ogrom pracy kobiecej dla dobra ojczyzny, jej heroizm, jej charakter i kulturę, jej zdobycze społeczne, w sposób poetyczny i pełen uczucia opisując dzieje naszych bohaterów narodowych.

Ambasador Chłapowski w gorących wyrazach podziękował pannie Vacaresco za jej słowa, zaznaczając braterstwo dwóch sąsiednich narodów. Polski i Rumunii.

Sekcji francuskiej żeńskiego Fidacu należy się prawdziwe uznanie za zorganizowanie tego odczytu, który jest jednym z cy-

klu kolejnych konferencji o kobietach wszystkich krajów sprzymierzonych.

Sekcja polska Fidacu żeńskiego rozwija w ostatnich czasach intensywną działalność, świeżo nawiązano kontakt z organizacjami amerykańskimi, które urządziły szereg odczytów o Polsce i zorganizowały wyświetlanie filmów z dziedziny rozwoju przemysłu i handlu naszego kraju.

UCHWAŁY KOBIEC PRZECIWIW PIJAŃSTWU.

W ubiegłym tygodniu odbyła się w Państwowej Szkole Higijeny konferencja delegatek stowarzyszeń kobiecych w sprawie wniosków nowelizacji ustawy alkoholowej, świeżo postawionych na Komisji budżetowej Sejmu. Po referatach i dyskusji uchwalono jednomyślnie 1) zwrócić się do Sejmu z żądaniem niedopuszczenia w istniejącej ustawie przeciwalkoholowej żadnych zmian, zmierzających do jej uszczuplenia, 2) do Rządu, o bezwzględne stosowanie ustawy i wyznaczenie należnych sum na walkę z alkoholizmem, i 3) do społeczeństwa, o energiczne współdziałanie w propagandzie przeciwalkoholowej.

NARZECZENI Z KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA.

Brat cesarza japońskiego, książę Nobuchito, zaślubił p. Tokugawa. Pomimo, że oboje narzeczeni są ludźmi zupełnie współczesnymi (p. Tokugawa, córka jednego z ambasadorów, ukończyła uniwersytet i przebywała parę lat w Ameryce), ślub odbył się, zgodnie z ceremoniałem dworskim, w odwiecznych, narodowych strojach.



Brat i bratowa Mikada.

JEDWAB, PERKAL, CZY TO. CO NAJWAŻNIEJSZE?

1. NIEPOROZUMIENIE

Niewiadomo, dlaczego na słusznej propagandzie krajowych towarów bawełnianych wywieszono perkalowy sztandar. Doniedawna jedwab obowiązywał, jako strój nietylko wieczorowy, ale i wizytowy. Teraz — z pieca na głowę — perkal!

Zamiast przypomnienia i wyjaśnienia szerokiej publiczności zalet tkanin bawełnianych w ich najwykwintniejszych postaciach, wysuwa się, jako hasło — najlichszą i najtańszą. Fakt, że panny Dewey'ówny już, jak nas zapewniamy, obstałowały sobie perkalo-we suknie u Hersego (trzebaż bo pięknie uszyć taki perkal!), a Miss Polonia również nagwałt coś podobnego sobie sprawa — nie rozstrzyga sprawy.

Zanim te panie w celach propagandowych gdzieś się obwiozą, czy obniosą w tych strojach, będą miały na sobie jedwabne piżamy, a potem równie jedwabne stroje popołudniowe, czy wieczorowe.

Ten rodzaj propagandy tkanin bawełnianych, z akcentem na najgorszej z nich — to coś, jak młoda, niebardzo jeszcze pedagogicznie wyrobiona matka, udająca przed synkiem, że bardzo jej smakuje kaszka, właśnie ta, której on, biedactwo, ani rusz. W rzeczywistości żadnemu z nich ta kaszka iść przez gardło nie chce.

Podobny, choć pojedynczy fakt zdarzył się w rodzinie pewnego przedwojennego rosyjskiego miljonera. Uwziął się, że jego dwie prześliczne córki nie inaczej, tylko w zgrzebnem płótnie, wystąpią na swoim pierwszym balu. Cóż? Wzięły rekord oryginalności i nic im to nie zaszkodziło, jako że wiedziano dobrze o dziwactwach ojca. Jadąc jednokonną biedką, ustępował on zawsze z drogi przed szóstką w leje swego administratora. Niewiadomo jednak, czy na tymże balu pierwszy napotkany lokaj nie usunąłby z eleganckiego lokalu w ten sposób ubranej, biednej nauczycielki.

Niewątpliwie więc perkal posłuży, jako efektowna maskarada pięknym paniom z wyższych sfer towarzystwa, czy teatru — z równem powodzeniem mogłyby włożyć na galowe popisy naszego przemysłu suknie z karbowanej bibułki. Szerokim, uboższym sferom kobiecym — chociaż to brzmi, jak paradoks — pozostawmy jednak te najświetniej się prezentujące gatunki bawełny, rozgrzeszając je nawet z nabycia choćby jednej sukienki z *krajowego* jedwabiu. Perkal i tak znają dobrze i uczynią z niego odpowiedni użytek: w domu, nad morzem, na wsi...

Tę pomyłkę — ściślej mówiąc, niedokładne zrozumienie Dewey'owskiej instrukcji, która wkradła się w głosy dyskusyjne, głosy zarówno *za*, jak *przeciw* — trzeba koniecznie sprostować. Propaganda towarów bawełnianych powinna przede wszystkim objąć najwyższe gatunki: *crêpe maroquin*'y, „*silk*”i, *crepony*, *éponge*, *batysty*, *opale*, *markizety*, *woale* i inne.

Zarazem trzeba pamiętać, że akcja reklamowa tych tkanin nie może się ograniczyć do pojedynczych, chociaż efektownych, wystąpień propagandowych: ani Miss Polonia, ani panny Dewey nie zapewnią popularności nietylko perkalom, ale nawet wykwintniejszym tkaninom, objętym instrukcją, jak np. sztuczny jedwab. Powszechna opinia sfer towarzy-

skich powinna poprzeć tę akcję, zaznaczając naprzykład, na rozsyłanych zaproszeniach: suknie z bawełnianych tkanin. Bale, dancingi i wieczorowe przyjęcia muszą mieć również w ten czy inny sposób pomyślany sztyld: bawełna.

Powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę, że na dłuższą metę i dalsze lata jedynie na bawełnie poprzestać nie możemy: inne działy włókiennicze powinny się rozwijać równolegle. Przy należytem nasileniu w tym sezonie łódzkiej produkcji bawełnianej, nie zapominajmy, że ta sama Łódź dostała już na swój jedwab zamówienia z Paryża. Wełny bielskie (nawet tweedy) rywalizują z angielskimi, Milanówek wypuszcza towar w rekordowych cenach 11—14 zł. za metr z własnych jedwabników, a i płótno kwitnie błękitno na naszych polach. Niepodobna więc nastąpić zawiesić krajowej produkcji włókienniczej na krzaku bawełny.

W każdym razie szerokie sfery kobiece powinny być wdzięczne naszemu doradcy finansowemu, że zrozumiał, w czyich rękach leży poparcie, lub pogrzebanie jego szlachetnych intencji. Gdybyż to lepiej chciały zrozumieć i inne czynniki miarodajne naszego przemysłu!

Jest jeszcze jedna dobra strona omawianego apelu do kobiet: ta mianowicie, że się wogóle sprawę tkanin polskich poruszyło i że echo dyskusji potoczyło się po piśmie i gazetach. Przy okazji da się zaktualizować parę zagadnień z dziedziny może ważniejszej, niż sprawa: polski jedwab, czy polska (częściowo, bo trochę jednak — egipska) bawełna: *jakość naszego towaru i sposoby jego reklamy*. Sprawy te poruszą w następnym artykule.

W. Borudzka.

OCHRONA PTACTWA POŻYTECZNEGO

Nad sprawą ochrony ptaków pożytecznych warto bliżej się zastanowić. Przypominam sobie, że przed wojną światową niektóre Okręgowe Towarzystwa Rolnicze niemieckie zwróciły się do Centrali z zapytaniem, co jest powodem, że ilość szkodników zwierzęcych w ogrodach, sadach i w polu z roku na rok wzrasta i jaki byłby najskuteczniejszy środek do ich zwalczania.

Centrala dała następujące wyjaśnienie: przy coraz dalej idącej intensyfikacji uprawy roli usunięto stopniowo w polu i na dawniejszych nieużytkach wszystkie drzewa i krzewy, które w jakikolwiek sposób mogły utrudniać pracę pluga.

Te właśnie drzewa i krzewy stanowiły schroniska, były miejscem wylęgu dla wszystkich prawie śpiewaków, a tak samo i dla szpaków.

Pozbawione naturalnych schronisk ptactwo coraz więcej oddalało się od siedzib ludzkich i wycofało się do pobliskich lasów. Znajdując w lasach, na łąkach i bliskich polach dość pożywienia, ptaki nie wracają więcej do mieszkań ludzkich.

Należy więc je przywabić, nakłonić do usłania sobie gniazd w dawniejszych siedzibach i to przez zakładanie gotowych, odpowiednio na gniazda przygotowanych skrzynek, większych dla szpaków, a mniej-

szych dla naszych miłych, małych śpiewaków; dalej przez umieszczanie w sadach na palikach deszczulek, na których daje się przez zimę dla tego ptactwa trochę odpadków kuchennych, ziemniaków, chleba i czasem trochę pośledniejszego ziarna, a podczas mrozów w miseczkach i trochę wody do picia.

Wielkiej własności udzieliła Centrala ponadto radę, by w polu, w odpowiednich miejscach, zakładać schroniska dla ptactwa; a więc posadzić kilka drzew, trochę krzewów, w których ptaki w spokoju będą mogły budować swoje gniazdko. Wszystko to ma być ogrodzone płotem, by utrudnić dostęp chłopcom, chętnie niszczącym gniazda. W następstwie tego będzie mniej szkodników zwierzęcych w naszych ziemniokach.

W niektórych majątkach ziemskich Wielkopolski widziałem sam takie schroniska w polu.

Reasumując to, należy w szkołach wszystkich, a rolniczych w szczególności, oraz na zebraniach Kółek Rolniczych uświadamiać, jak doniosłe znaczenie ma ochrona ptactwa w walce ze szkodnikami zwierzęcymi w ogrodzie, sadzie i w polu.

Uczniom szkół polecić należy zakładanie skrzynek dla ptaków i sypanie na deszczulkach karmy dla nich w swych sadach. Pamiętać należy, że dowodem kultury kraju, względnie danej miejscowości, są: ład i porządek w domu i koło domu, drogi obsadzone drzewami owocowymi, a na drzewach — skrzynki dla ptaków.

Wkońcu nie mogę pominąć pewnego wyjaśnienia w obronie wróbla: i ten ptak nie jest w rzeczywistości takim bezwzględnie szkodnikiem, za jakiego uchodzi.

Nie powinno się zapominać, że przecież ptak ten od kwietnia aż do lipca, t. j. do czasu dojrzenia zbóż, żywi się w ogrodach i sadach wyłącznie tylko owadami, z nieobliczalnym dla nas pożytkiem. W tym okresie wróbel ma na swem sumieniu chyba tylko te małe grzeszki, że czasem przez otwarte okno wleci do śpichrza lub razem z kurami wyjada karmę, właściwie tylko dla kur przeznaczoną. Prawdziwe szkody wyrządza dopiero wówczas, gdy wyjada na pniu dojrzewające zboże, a to samo powtarza później w stertach i stodołach. Sprawiedliwie rzecz osądzając, trzeba powiedzieć, że jeśli w danej okolicy są wielkie stada wróbla, to mogą one wyrządzić w zbożach tak poważne straty, że te kasują pożytek, jaki przynoszą wróble przez niszczenie owadów.

A więc należy je od czasu do czasu „dziesiątkować“ przez wybijanie. W pewnej miejscowości w Ameryce, gdzie wybito wszystkie wróble, wyznaczając za to nawet premje, przekonano się w następnych latach, jak wielkie szkody wyrządziły owady w ziemniokach; zrehabilitowano więc tego ptaka, przyznając mu znów prawo bytu.

Rozumna, racjonalna ochrona ptaków pożytecznych, przeprowadzona w całym kraju, będzie niewątpliwie także jednym ze środków podniesienia dochodowości naszych ogrodów, sadów i gospodarstw wiejskich wogóle.

J. Neyman.

PRZESADZANIE ROŚLIN DONICZKOWYCH

Przesadzanie roślin doniczkowych ma na celu odnowienie ziemi wyjałowionej przez zastąpienie jej odpowiednią świeżą. Czynność tę uskuteczniamy zwykle na wiosnę, najlepiej w marcu i kwietniu. W tym okresie bowiem roślina po odpoczynku zimowym wegetować zaczyna energiczniej, łatwiej też przyjdzie jej pokonywanie ewentualnych niedomagań, choćby chwilowych, i uszkodzeń, które się zdarzyć mogą przy przesadzaniu.

Przed przesadzaniem jeszcze zaopatrzyć się należy w odpowiednią ziemię, licząc się z tem, że wymagania poszczególnych roślin pod tym względem są różnorodne. Tak więc np. wśród palm — to jest w obrębie jednej rodziny botanicznej — spotykamy takie, które lubią ziemię lżejszą (rodzaj Kentia), inne zaś (rodzaj Phoenix) wymagają raczej ziemi cięższej, z dość pokaźną domieszką gliny. Dla azalii, rododendronów, kamelii stosujemy znów ziemię wrzosołą; podobne wymagania będą miały też i paprocie; wymagania innych roślin dotyczyć mogą, naturalnie, innych rodzajów ziemi.

Przystępując do przesadzania, musimy rozważyć, jaki jest stan zdrowia rośliny i czy przesadzenie jest potrzebne.

O chorobliwym stanie rośliny świadczyć będzie ogólny jej wygląd, a w pierwszym rzędzie żółto-zielona barwa liści, łatwo opadających, i cienkie, wątłe pędy; przeciwnie, o jej dobrym zdrowiu stanowią będą jędrne pędy i żywo-zielone liście.

Energja, z jaką roślina się rozwija, wskaże nam, czy w danym wypadku zachodzi konieczność przesadzania. Zazwyczaj rośliny młode, a więc rozwijające się intensywniej, wymagają więcej pokarmów, niż starsze, częściej też należy im dostarczać nowych zapasów. Rośliny starsze, a przytem cieszące się dobrym zdrowiem, mogą być przesadzane rzadziej — co 2 do 4-ech lat.

U takich roślin, które przesadzenia jeszcze nie potrzebują, dobrze jest zebrać wierzchnią warstwę ziemi, wyjałowionej przez częste podlewanie, zastępując ją świeżą.

Przy przesadzaniu chorych roślin zbadać przede wszystkim wypada stan korzeni. Chore, zgniłe korzenie usuwamy zapomocą ostrego narzędzia; unikamy tu odrywania korzeni, bo przy takich zabiegach zdarzyć się może, iż zdrowe części korzeni będą uszkodzone. Na dno naczynia dajemy grubą warstwę drobno potłuczonych skorup, cegły lub żwiru, a to w celu zapewnienia dokładnego odpływu zbytecznej wody. Rośliny, zdrowe tak dużego drenażu nie potrzebują.

Pierwszą czynnością przy przesadzeniu rośliny jest wyjęcie jej z doniczki, w której dotąd przebywała. Czynimy to zwykle w sposób następujący: lewą ręką nakrywamy powierzchnię danej doniczki tak, aby łodyga rośliny znalazła się pomiędzy środkowymi palcami, poczem roślinę wraz z doniczką przewracamy do góry dnem; następnie uderzamy zlekka np. o stół i w ten sposób roślinę łatwo z doniczki oswobodzamy. Zużyta ziemię usuwamy ostro zakończonym patyczkiem, uważając, by nie uszkodzić zdrowych korzeni.



Na dno świeżo przygotowanej doniczki dajemy mniejszą lub większą warstwę potłuczonych skorup, jako sączki (zależnie od stanu zdrowia danej rośliny), następnie trochę piasku gruboziarnistego, a wreszcie cienką warstwę ziemi. Do tak przygotowanej doniczki wstawiamy roślinę i w miarę potrzeby podsypujemy ziemi, którą włączamy wgłąb naczynia zapomocą spłaszczonego patyka, bacząc, by ziemia ta wypełniła otwory pomiędzy rozluźnionymi korzeniami. Dospując ziemi, ugniatamy ją następnie palcami, by roślina dobrze utrzymywała się w doniczce.

Na wierzchu zostawić należy tyle tylko miejsca, aby woda, niezbędna do podlewania, zmieścić się jeszcze mogła. Bezpośrednio po przesadzeniu należy roślinę obficie podleć.

Wielkość doniczki, do której przenosimy roślinę przy przesadzaniu, nie jest obojętna. W większości wypadków używamy doniczki nieco większej od poprzedniej, nie jest to jednak regułą, — o tem decyduje w pierwszym rzędzie stan rozwoju rośliny.

Inż.-ogrodn. Marja Nagajówna.

TEGOROCZNE MAZURKI

Oszczędne gospodynie — a gdzie są dzisiaj te, które nie potrzebują oszczędzać?! — będą miały w tym roku duży kłopot z ciastami wielkanocnymi, a szczególnie z mazurkami. Dawno minęły te czasy, kiedy placuszki z kruchego ciasta, ładnie polukrowane i posypane kolorowym maczkiem, lub rodzynkami i krajanami migdałami — nazywano mazurkami.

Dawniej łokciowa baba była główną chlubą gospodyni, ogromny sękacz — główną ozdobą stołu; po parę kop jaj, a głównie żółtek, używano na każde z tych ciast. Bardzo wykwintnych mazurków w starych książkach kucharskich prawie nie spotykamy. Dopiero w ostatnim pokoleniu cały wykwint ciast wielkanocnych przeniesiono na mazurki. Przestały one właściwie być ciastem, gdyż mąka — podstawa i najbardziej charakterystyczna część każdego ciasta — coraz rzadziej w skład ich wchodzi. Są one wyrobami cukierniczymi, najbardziej zbliżonymi do cukierków, marcepanów i t. p., a co za tem idzie, składają się — poza cukrem i czasem jajami — przeważnie z czekolady, przeróżnych bakalij, a głównie z orzechów i migdałów.

Hasło samowystarczalności, rzucone na skutek naszego fatalnego bilansu handlowego, powinno znaleźć oddźwięk w każdym domu polskim, i każda gospodyni starać się musi, jeżeli już nie zupełnie usunąć — co nie zawsze okaże się możliwem — to przynajmniej sprowadzić do minimum zużycie towarów zagranicznych; zresztą, niejedna będzie do tego zmuszona ogromną ich drożyzną.

Nie należy zapominać, że nietylko migdały, rodzynki, figi i daktyle są pochodzenia zagranicznego, lecz, że i orzechy — te orzechy, które nas w pierwszych czasach powojennych, kiedy o wszystko było trudno, ratowały — przychodzą do nas z Rumunji, Tyrolu lub Włoch. Zeszłoroczna, wyjątkowo mroźna zima, zniszczyła wszystkie bez wyjątku drzewa orzechów włoskich w całej Polsce, a orzechy laskowe

wszelkich gatunków miały przemarzniete pączki kwiatowe i wcale nie obrodziły. Podobno niektóre orzechy włoskie zaczęły ku jesieni puszczać nowe pędy i, dzięki wyjątkowo łagodnej zimie tegorocznej, pędy te nie zginęły, co pozwala przypuszczać, że drzewa orzechowe zostaną uratowane. Nie mniej jednak przez lat kilka krajowych orzechów włoskich mieć nie będziemy. Urodzaj wszelkich odmian orzechów w całej Europie był w tym roku nieduży, to też są one ogromnie drogie i już nietylko względy patryjotyczne, lecz prosta oszczędność nie pozwoli wielu gospodyniom nabyć tylu kilogramów migdałów i orzechów, ile używały w innych latach. Nawet japońskie orzeszki ziemne, które w czasie okupacji niemieckiej zastępowały lepsze gatunki, widocznie przez solidarność ze swymi starszymi braćmi — orzechami tureckimi i eleńskimi — podrożały wdwójnasób.

Nie będę nikomu odradzała pieczenia domowych ciast wielkanocnych, a szczególnie mazurków, nie wymagających ani specjalnie dobrego pieca, ani długiego mieszenia, nie grożących nieudaniem się w razie niedobrych drożdży, niedośię suchej mąki i t. p. Takie odradzanie do niczego by się nie przydało. Siła tradycji jest tak wielka, że coroku słyszę od różnych gospodyń obietnice nie urządzania świąt, nie pieczenia ciast — i coroku u tychże gospodyń znajduję stoły zastawione najwyborniejszymi ciastami. Tak, głównie ciastami, bo mięsów coraz mniej się wszędzie robi, i, o ile się nie ma specjalnie proszonych gości w tygodniu świątecznym, ilość tych mięs ogranicza się do potrzeb własnej rodziny.

Można jednak zrobić próbę obchodzenia się zupełnie, lub prawie zupełnie, bez migdałów i orzechów oraz zmniejszenia poważnie ilości rodzynków i innych bakalij przy wypieku mazurków.

Więc przedewszystkiem, robiąc różne mazurki czekoladowe — bo chociaż kakao stanowi produkt zagraniczny, jednak czekolada jest wyrabiana w Polsce i to w tak doskonałym gatunku, że zaczyna być eksportowana i skutecznie konkuruje z czekoladą szwajcarską, więc kupowanie czekolady importowanej powinno być uważane za wykroczenie przeciwko zasadzie samowystarczalności. W mazurkach czekoladowych możemy się obchodzić bez migdałów, zastępując je bułeczką tartą, żółtkami z jaj, na twardo ugotowanych, robiąc masę pomadkową, gotowaną na mleku lub śmietance. Oczywiście, stosujemy w takim razie inne przepisy — dostarczy ich w obfitości książeczka „Życia praktycznego“ pod tytułem: „Ciasta wielkanocne“.

Rodzynków i bakalij znowu dużo zaoszczędzimy, używając do mazurków różnych konfitur suchych, marmelad owocowych, a nawet konfitur zwykłych, dobrze osączonej z syropu. Mazurki ze zwykłego kruchego ciasta, pokryte konfiturami, a na to pianką z białek lub pomadką śmietankową, są wyborne i można je zapomocą zmiany owoców ogromnie urozmaicić.

Do wszelkich mazurków kruchych, królewskich i z żółtek na twardo gotowanych, zamiast migdałów gorzkich możemy, dla zapachu, dodawać po kilka kropel olejku migdałowego. Mówiąc tutaj o mazurkach z jaj, muszę zaznaczyć, że tych ostatnich, jako też masła do ciast, oszczędzać nie będziemy zmuszone. Fatalne konjunktury eksportowe tych obu towarów, odbijające się ujemnie na naszym bilansie handlo-

wym, są bardzo na rękę gospodyniom miejskim, zmuszonym kupować te produkty. Już od lat wielu nie notowaliśmy tak niskich cen jaj i masła w czasie przedświątecznym. Swoją drogą, panie, które będą mogły i chciały zaopatrzyć się na święta w masło i jaja, powinny to zrobić na dobrych parę tygodni przed świętami, gdyż nasi panowie-kupcy nawet przy największej obfitości towaru, potrafią w chwili najsilniejszego popytu ceny znacznie podnieść.

Cytryny, na szczęście, nieco staniały. W Warszawie można wcale niezłe nabyć po piętnaście groszy, czyli w cenie lat ubiegłych. Gorzej jest z pomarańczami. Mimo nawoływań lekarzy i prasy, cięży na nich olbrzymie cło przywozowe i są one dla szerszych mas spożywców niedostępne. I kiedy w Berlinie i Pradze cena dużej pomarańczy, po przeliczeniu na złote polskie, wynosi około 25 groszy, w Warszawie za takie same około półtora złotego płacić musimy. To też radzę, robiąc mazurek pomarańczowy, brać połowę kwaskowych jabłek; mazurek będzie równie smaczny, a o połowę tańszy.

Ze swojej strony, przez cały czas przedświąteczny będę się starała podawać przepisy smacznych mazurków, z najmniejszymi ilościami towarów zagranicznych.

Pani Elżbieta.



PEKLOWANIE MIĘSA WOŁOWEGO I OZÓRÓW

Przy większym święconem, obok szynki wieprzowej i cielęcej i obok kielbas, bardzo dobrze smakuje peklowana wołowina, a szczególnie najdelikatniejsza jej część — ozór. Do peklowania najsmaczniejszą częścią jest krzyżowa od ogona, z kwiatkiem; pozatem wyborne są: rozbef, zrazówka i antrykot, czyli kotletówka; o tę ostatnią w dużych miastach z liczną ludnością żydowską dosyć trudno, gdyż jest to właśnie najlepsze mięso koszerne.

Na cztery kilo wołowiny i duży, ładny ozór (powinien być bardzo gruby — wagi około dwóch kilo) bierzemy dwadzieścia deka soli, uprażonej na patelni i utłuzzonej z pół deka saletry, kilkunastu ziarnami pieprzu i ziela, paru łyżkami, szczyptą kolendru, łyżeczką majeranku i paru goździkami. Korzenie powinny być grubo tłuczone. Mieszaniną tą mocno nacieramy mięso, poczem wkładamy je do naczynia kamiennego, bardzo mocno uciskając, przysypujemy resztą soli i przyciskamy deseczką i ciężarkiem.

Przez pierwsze trzy dni należy trzymać mięso w pokojowej temperaturze, codziennie przewracając. Następnie wynosimy w suche, chłodne miejsce, nie zapominając codziennie przewracać, aby się równo usoliło. Po tygodniu (do dziesięciu dni) jest gotowe. Gotując, pierwszą wodę odlać, w drugiej gotować z włoszczyzną, aż zmięknie, co trwa około trzech godzin.

KIELBASA ŚWIĄTECZNA

Trzy części najlepszej, przerastającej wieprzowiny bez kości i żył i jedną część miękkiej wołowiny od krzyżowej lub zrazowej pokrajać drobno (nie siekać) bardzo ostrym nożem, aby nie soku nie wypłynęło. Osolić do smaku, lieząc na dwadzieścia deka soli pół deka saletry (łyżeczka od kawy).

Opieprzyć, dodać majeranku lub czosnku — co kto woli — można nawet dodać oba zapachy razem. Wyrobić dobrze mięso z przyprawami i wynieść do chłodnego miejsca na dwadzieścia cztery godziny. Napychać w czyste kielbaśnice średnio grube, dobrze je przewalkować na stolnicy, aby nigdzie pustych miejsc nie pozostało. Powiesić na drążkach w zimnej szpiźarni na dni kilka (do tygodnia).

Na kilka dni przed użyciem powiesić je na parę godzin w gorącym dymie, aby się jednocześnie uwędziły i nieco podpiekły. Po wyjęciu z dymu potrzymać przez noc w suchym, chłodnym miejscu, poczem wrzucić je we wrzącą wodę. Odśunąć rondel na brzeg blachy i trzymać tak kwadrans, lub dwadzieścia minut, nie gotując jednak, gdyż kielbasy mogłyby popękać i stracić dużo na smaku.

MUSZELKI Z MÓZDŻKU

Na sześć muszelek wymoczyć dobrze ładny mózdzek cielęcy, obrać go z krwawej błonki i ugotować w wodzie, osolonej i lekko zakwaszonej octem. Ostudzić. Tymczasem sporą cebulę usiekać jaknajdrobniej i usmażyć, nie rumieniąc, w sporej łyżce masła (pięć deka). Wsypać dobrą łyżkę mąki, zasmażyć razem, rozprowadzić szklanką zimnego mleka, rosółu lub nawet wody. Masa powinna być po zagotowaniu bardzo gęsta. Na miseczkę utrzeć doskonale mózdzek, dodać dwa żółtka, cebulową masę, ucierać dalej, aż całość będzie gładka: osolić, lekko popieprzyć białym pieprzem.

Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, wymieszać z mógowym farszem. Nalożyć do muszelek, grubo wysmarowanych masłem. Po wierchu posypać tartą buleczką i wstawić w dobrze gorący piec na kwadrans. Gdy się lekko zrumienią, natychmiast podawać. Do nich można podać cytrynę, pokrajaną w podłużne ćwiartki.

MAZUREK O TRZECH SMAKACH

Z dwudziestu deka mąki, piętnastu deka masła i dziesięciu deka cukru-pudru zagnieść kruche ciasto, dodając tyle wody, aby się ciasto nie kruszyło. Potrzymać godzinę na chłodzie, rozwałkować cieniuchno (około pół centymetra), upiec w dobrze gorącym piecu, mocno rumieniąc. Gdy ciasto wystygnie, posmarować marmeladą morelową lub malinową. Pół litra dobrego, tłustego mleka zagotować z czterdziestoma deka cukru, często mieszając i gotując na bardzo wolnym ogniu, aby się nie przypaliło. Gdy zacznie gęstnieć, włożyć łyżeczkę śmietankowego masła i wlać trzy krople olejku migdałowego, lub włożyć trzy gorzkie migdały, jaknajdrobniej utarte.

Próbować masę, puszczać po kropli na zimny talerzyk: gdy kropla pozostaje wypukła i nie rozplywa się — pomadka gotowa. Wylać ją prędko na mazurek, wyrównać, ile się da, zanim nie stwardnieje, i postawić na noc w chłodne i suche miejsce. Wyborny mazurek, bez tak kosztownych w tym roku migdałów i orzechów.

Pani Elżbieta.

WALNE ZGROMADZENIE DOROCZNE KOŁA S. G. D.

Walne Zgromadzenie Koła odbyło się dnia 12 marca r. b. w Sali Pracowników Miejskich (Krakowskie Przedmieście 1) w drugim terminie o godz. 6-tej, przy obecności $\frac{2}{3}$ członków.

Na przewodniczącą zebrania zaproszono p. Irenę Szumla-kowską, na asesorki — panie: Wabia-Wabińską i Walicką.

Sprawozdanie z działalności Zarządu Koła odczytała p. Zofja Ludwigo-wa, podkreślając szybki jego rozwój w ostatnim okresie, o czym świadczy wciąż wzrastająca liczba członków, wynosząca 270 osób w chwili obecnej. W roku sprawozdawczym

odbyło się 9 zebrań plenarnych, na których wygłaszano referaty i organizowano pokazy praktyczne. Koło uruchomiło szereg kursów kulinarnych i gospodarstwa domowego. Wreszcie przeobraziło się w jednostkę autonomiczną przez uzyskanie specjalnego statutu dla swej organizacji.

Po tem sprawozdaniu rozdano członkiniom listy kandydatów do nowego Zarządu i karty wyborcze.

Poszczególne Sekcje Koła reprezentowały kierowniczkę, którym kolejno udzielano głosu.

P. Marja Ankwiczowa — kierowniczka Sekcji prasy i propagandy oraz komisji wystawowej — powiadomiła panie między innymi o całym szeregu organów prasowych, które weszły w ścisły kontakt z Kołem, umieszczając sprawozdania miesięczne o Kole. Członkini sekcji wygłaszają odczyty w różnych instytucjach i stowarzyszeniach kobiecych.

Prelegentka podniosła znaczenie propagandowe organizowanych przez Koło wieczorów odczytowych i dyskusyjnych, wreszcie chlubny współdziałanie Koła na P. W. K. w Poznaniu, gdzie dwa eksponaty wyróżniono, nagradzając model kuchni — dyplomem honorowym w Pawilonie Pracy Kobiet, a kredens wiejski w Pawilonie Ziemianek — medalem srebrnym.

P. Elżbieta Kiewnarska dała sprawozdanie z sekcji kulinarnych i kursów. Kursy w r. ub. ukończyło 56 słuchaczek. Obecnie prowadzone są 2 kursy współrzędne: jedno na Grójeckiej w lokalu szkoły powszechnej, gdzie instruktorką jest p. Julja Czechowska; drugie we własnym lokalu Koła, na Narbutta (róg Kazimierowski), pod kierunkiem pani Moysowiczowej.

P. Michalina Ulanicka — kierowniczka Sekcji służby domowej — zaznajomiła członkinie z obfitym materiałem poczynania sekcji, z których na szczególną uwagę zasługuje ułożenie dezyderatów, uzupełniających projekt nowej ustawy dla służby domowej, które zostały złożone w Sejmie.

P. Marja Chmieleńska omówiła prace Sekcji mieszkaniowej oraz przyrządów i narzędzi. Głównym zadaniem Sekcji jest opracowywanie racjonalnych urządzeń i przyrządów, wypróbowywanie ich oraz pobudzanie wytwórców do wyrabiania sprzętów racjonalnych. Sekcja nawiązała kontakt z kołem architektów.

P. Aniela Rakowska — kierowniczka Sekcji zakupów i rabatów — powiadomiła panie o całym szeregu firm handlowych i przemysłowych, które członkiniom udzielają rabatu w wysokości od 3 do 25 proc.

Skarbniczka p. Melanja Zaleska złożyła sprawozdanie kasowe z saldem na 1930 r. w sumie 115 zł.

Na wniosek Komisji Rewizyjnej, z której sprawozdanie wygłosiła p. Mieczysława, udzielono Zarządowi absolutorjum, poczem uchwalono budżet na rok 1930/31. Protokół z ostatniego Walnego Zgromadzenia, odczytany przez p. Michalinę Ulanicką, został zatwierdzony bez zmian.

Po ukończonych sprawozdaniach przystąpiono do wyborów Zarządu i Komisji Rewizyjnej.

Nowy skład Zarządu Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, wybrany na trzy lata w myśl nowoobowiązującego statutu Koła, jest następujący: p. Iza Mandukowa — przewodnicząca; p. Halina Przesmycka — I wice przewodnicząca; p. Elżbieta Kiewnarska — II wice przewodnicząca; p. Zofja Ludwi-

gowa — sekretarka; p. Marja Sielowska — zastępczyni; p. Melanja Zaleska — skarbniczka; p. Marja Korsunowa — zastępczyni; p. Regina Mieczysława — gospodyni lokalu; p. Żylińska Zofja — członek Zarządu.

Do Komisji Rewizyjnej weszły panie: Hanna Pogorzelska, Zofja Stichowa, Marja Rothertova.

Kierowniczkami Sekcyj mianowano bez zmian: p. Marję Ankwiczową — prasy i propagandy; p. Michalinę Ulanicką — służby domowej; p. Elżbietę Kiewnarską — kulinarnych; p. Marję Chmieleńską — mieszkaniowej, przyrządów i urządzeń; p. Zofję Jasielewiczową — dochodów niestałych; p. Anielę Rakowską — zakupów i rabatów; sekcja kursów nie została narazie obsadzona.

M. A.

KORESPONDENCJE

Pani M. Cz. — Tarnów. — Najpraktyczniej będzie napisać do firmy Br. Jabłkowskich (Bracka 25 w Warszawie), z prośbą o przysłanie katalogu wiosennego i prób materiałów na płaszcze. Proszę powołać się na naszą Redakcję. Według udzielonych wskazówek, najodpowiedniejszy będzie fason angielski, z materiału „tweed“, kolor w odcieniach migdałowych — od najciemniejszych do najjaśniejszych.

Pani Cezel. — Pomorze. — Sposób postępowania z marmurem podawaliśmy w „Dobrych Radach“ w jednym z ostatnich numerów „Bluszczu“.

Pani G. O. — Leszno. — List Sz. Pani przekazaliśmy p. dr. J. Świtalskiej, prosząc o udzielenie listownej odpowiedzi. Z osobistego doświadczenia radzę Sz. Pani zwrócić baczną uwagę, jakie mogą być przyczyny tego zapalenia. Czy nie bliskość pewnych kwiatów sezonowych, kwitnących w tej porze, prymulek naprzykład? Gdyby tak było, proszę je natychmiast usunąć, a choroba sama minie. Pisaliśmy o tem przed paru laty w „Bluszczu“.

Pani W. — Potoczek. — Możemy narysować monogramy podług wskazanej wielkości; prosimy o litery, ilość i rodzaj monogramów.

Pani J. St. — Ochajec. — Możemy służyć Sz. Pani żądaniem wzorami kuchennymi. Cena od 50 gr. do 2 zł. 50 gr., zależnie od wielkości. Wzory mogą być wyklute na kalce, do przesłania odpowiednim proszkiem na materiał.

Najlepsze **samopoczucie** zapewniają

opaski miesięczne dla pań „SIGI“

Nie ścierają skóry Nie wymagają prania, są giętkie, zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.

Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach

Generalne przedstawicielstwo: **HUGO FRISCHLER w BIELSKU, ul. Krasińskiego 13.**

233

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rybarska 5, tel. 244-18.

Nasza Mównica



Scholastyka z Jamonttów Mackiewiczowa.

Odznaczenie weteranki.

Do najszcześniejszych, nagrodzonych w wolnej Polsce, należą weterani z powstania styczniowego, oni bowiem doczekali nie tylko najwyższej łaski odrodzenia ojczyzny, ale i rzeczy niezmiernie rzadkiej w ludzkim życiu: *sprawiedliwości dziejowej*.

Nie wielu bojowników o niepodległość żyło tak długo z tak ciężkimi zarzutami za swe bohaterstwo: szaleństwo, fanatyzm, nierozum, oto jakimi epitetami szafowano przez całe lata, w okresie pozytywizmu pod adresem tych bohaterów, którzy tymczasem przebywali... na Syberji. Dziś doznali oni wielkiej satysfakcji: naród i historia przyznały im rację, i resztę ich życia opromieniły wdzięcznością i uznaniem.

A że tak ciężkie przeszli koleje, że tak niewielu już tych starszków oglądać możemy, że już stają się legendą, tembardziej wzruszająca jest każda uroczystość oddania im holdu.

Jedną z takich uroczystości przeżyliśmy w Krakowie: odbyło się tu udekorowanie krzyżem oficerskim „Polonia Restituta” p. Scholastyki Mackiewiczowej. Osiemdziesięcioletnia dziś starszka, w piętnastym roku życia wzięła udział w powstaniu na Litwie, pracując, jako kurjerka. Pracowali zresztą tak samo wszyscy jej najbliżsi, znana litewska rodzina Jamonttów, i wszyscy zesłani zostali przez Murawiewa na Sybir. P. Mackiewiczowa więziona była długie lata w Tobolsku, następnie w Omsku. Na wygnaniu też zaślubiła zesłańca, Grzegorza Mackiewicza i z nim razem wróciła po latach do kraju, gdzie, mimo długoletnich cierpień wygnania i starszego wieku, pracowała dalej dla dobra Polski.

Wdzięczna „Restituta” ozdobiła obecnie czcigodną weterankę wysokim orderem.

Dekoracji dokonał major Błażewicz, potem zabrała głos p. Mackiewiczowa:

„Za ten zaszczyt, którym mnie państwo polskie ponad zasługi moje nagradza, składam najgłębsze podziękowanie Jego Przedstawicielom, Prezydentowi Mościckiemu i Marszałkowi Piłsudskiemu. W tej radosnej chwili stają przedemną postacie, w związku z którymi tylko czuję się godną przyjęcia tego za-

szczytu. Niech mi wolno będzie wymienić imiona tych, którzy w oczach moich ginęli na szubienicy w tem męczeńskim Wilnie. Są to: Zygmunt Sierakowski, Konstanty Kalinowski, Tytus Dąbowski, Ignacy Zdanowicz i tylu innych. Nikle mi są moje zasługi wobec ich mojej niezłamanej i bohaterskiej śmierci! Stają przedemną cienie moich rodziców, braci, męża, siostr, tych, którzy wraz ze mną szli na Sybir, na długie lata więzień i tułaczki. Mnie tylko, dzięki Opatrzności, danem było doczekać chwili zmartwychwstania Ojczyzny i cieszyć się Jej chwałą. W latach krwawej styczniowej rozprawy łączył nas jeden węzeł nierozwalny, był to duch ofiary. Wierzyliśmy, że Polska zmartwychwstanie tem prędzej, im więcej jej ofiar złożymy. Wierzyliśmy w potęgę ofiary, w jej moc życio-twórczą! Myśleliśmy wtedy: My nie ujrzymy wolnej Ojczyzny, ale przyjdą inni, może godniejsi, dla których potrzebne są nasze ofiary. I szli bohaterowie, szli na śmierć pokolei, „jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”. Stało się wedle wiary naszej! Przyszli ci, co naszą ufność, naszą miłość i wiarę w czyn przekuli!”

Zebrani z szacunkiem wysłuchali tego przemówienia, tak wzruszająco łączącego bohaterską przeszłość z chwilą obecną.

M. M. — Kraków.

Ku porozumieniu.

Mężowie mają głos! Jak to mile brzmi i przypomina te czasy już niepowrotne, gdy „pater familias” siedział na władcym tronie swej rodziny, przed którym i żona i dzieci drżały. Na wspomnienie tych ciężkich i przykrych chwil, tej rzeszy, że tak nazwę, białych niewolnic, uczuwamy w obecnym czasie pewien moralny niesmak. Użyłem tu czasu przeszłego, gdyż dziś ten stan rzeczy się zmienił, wprawdzie jeszcze niezupełnie, ale, mojem zdaniem, generacja, która po nas nastąpi, wyzwoli kobietę zupełnie.

Ja osobiście uprzedzić muszę, byłem, jestem i prawdopodobnie pozostanę sympatykiem i wielbicielem pisma kobiecego „Bluszcz”, które chlubne swoje posłannictwo spełnia ku ogólnemu i szczeremu zadowoleniu, czego dowodem są liczne głosy czytelniczek, pełne czci i zachwytu dla tego pisma.

Moje, jako mężczyzny, zainteresowanie się sprawą kobietą w ogólności datuje się jeszcze od czasów szkolnych, gdy, jako uczeń gimnazjum, byłem zmuszony uzupełniać budżet domowy udzielaniem lekcji. Między innymi, przygotowywałem do II kl. pewnego chłopca. Ojciec jego, murarz z zawodu, pijak i awanturnik, matka z konieczności zarabiała praniem, ponieważ mąż bardzo często, zamiast tygodniowego zarobku, przynosił do domu wyziewy szynkowni i wyrażenia więcej, niż karczemne.

Odbywając lekcję z chłopcem, często obserwowałem taki obrazek: ona przy bawli, upadająca ze zmęczenia; u nóg jej bawiło się troje (od roku do lat trzech); obok dziewczynka pięcioletnia na stołeczku, bawiąc się, rozmawiała z matką, która potrafiła pracując równocześnie, odpowiednio zabawić cichą rozmową swe młodsze dzieci tak, że ja mogłem bez przeszkody prowadzić naukę z jej najstarszą pociechą.

Dla uzupełnienia tego krótkiego opisu, dodam, że w domu tym panowała idealna czystość. Kobieta ta często miała na twarzy sińce, pozwalające domy-

ślać się „energji“ jej władcy i pana, a mimo to jakaś jasność i pogoda była z jej oblicza.

Drugi przykład: przygotowywałem do egzaminu wstępnego dziesięcioletniego chłopca, którego rodzice: ojciec, urzędnik Towarzystwa Ubezpieczeń; matka, kobieta wykształcona, towarzyszko obyta, córka znanej i dobrej rodziny. I tu miałem sposobność zaobserwować takie sceny: On wraca z biura, ona wychodzi na schody i, witając się z nim, zdejmuje mu kapelusz i tak w miłej harmonji wchodzi do mieszkania, gdzie miły szczebiot dzieci rozprasza mu chmury z czoła. Nadmienić tu muszę, że człowiek ten miał powód przychodzić zachmurzonym z biura, ponieważ w owym czasie miały miejsce liczne pożary w okolicy. Proszę mi wierzyć, że ja, chłopiec piętnastoletni, każdorazowo z pełną czcią całowałem rękę wspomnianych tu kobiet.

Nie daję tu przykładu, ani też wskaźnika, jaką winna być żona i matka; lecz piszę w tym celu, aby wszystkie Panie usposobić nieco przychylniej dla tego znienawidzonego rodu męskiego. Proszę mi wierzyć, że niema sytuacji, z którejby wyjścia nie było. Pisze w jednym z ostatnich numerów „Bluszczu“ Pani „Jedna z wielu“ z Warty, że „żona nie może być mądra, bo to męża drażni“. Jeśli żona przewyższa męża pod względem wykształcenia, sądzę, nie powinna mu dać tego odczuć, z racji chociażby tego właśnie wykształcenia i równocześnie dobrego wychowania, jakie prawdopodobnie posiada. Boć mąż tej żony, już po pewnym czasie, żeby nawet był kretynem, po takim jej postępowaniu, musi uznać jej wyższość i okazać należny szacunek.

Dalej pisze Pani, że „żona nie może być subtelna i delikatna, bo mężowi to niepotrzebne“; ależ, na miły Bóg! przecież to są właściwości, które nas szturmem zdobywają, które nas odciągają od wszelkich miejsc rozrywkowych, pokoi śniadankowych i innych zakulisowych uciech. Powiem w dwóch słowach: „Nie wierzę“. Nie wierzę, by istniał mąż, któryby taką żonę lekceważył. A zresztą, może i są wyjątki, ale i tych można zwyciężyć i do stóp swych rzucić, o ile są tego chociaż w części warci.

„Niezbyt łagodna i cnotliwa, bo go to nudzi“; w tym wypadku jestem przekonany, że w głębi czarnej duszy tego męża tli się iskierka uwielbienia dla swej żony, cała umiejętność polega na odpowiednim i umiejętnym rozżarzeniu tej iskierki, aż wybuchnie w płomień. Tylko sporej dozy cierpliwości! I powtórzę tu, że z każdego położenia w życiu człowieka wyjście się znaleźć musi, a kobieta, pracując w tym kierunku, stwarza sobie samej miłe otoczenie, a więc pracuje dla siebie.

Dziś już nie może być mowy o niewolnictwie kobiet, ponieważ wkraczają wszędzie i stają do pracy narówni z mężczyzną, i tu właśnie znaleźć można dziś powód częstego rozgoryczenia, niezgody. Pracując w danym zawodzie, czy na kierowniczym stanowisku, człowiek narażony jest stale na różne przykrości, nieraz i ze strony kobiet. Czyż ma zdusić w sobie gorycz, której powodem nie jest jego żona, po to, aby tej żonie ukazać oblicze pogodne? a czy naprawdę pogodne, boć przecież byłby to fałsz, obłuda, a tego Panie chyba nie wymagają; tu więc zdałoby się nieco wyrozumienia dla tego męża, a bodaj czy w innej okoliczności mąż się w równej monecie nie odwdzięczy.

Pisałbym jeszcze dalej, lecz nie wiem, jak Panie to przyjmą i czy zechcą łaskawie ze mną dyskutować.

Wobec tego, kończąc, zaznaczam, że jestem z całym uznaniem dla Pań, które wyłoniły projekt udzielenia głosu nam, mężom.

B. W.

O szczęście.

Jako odzew na hasło: „Wypowiedzcie się, panowie!“, chciałbym skreślić dzieje swej miłości, aczkolwiek wiem, że małżeństwo i miłość to nie to samo. Jeśli nie potrafię zainteresować sympatycznych czytelniczek „Bluszczu“, będzie to wina mego pióra, nie sprawy, którą poruszam, bo ta zdaje mi się być ciekawa i rzuca pewne światło, w każdym razie według mego zdania, na toczącą się dotychczas w mroku walkę o szczęście.

Byłem zakochany, jak to się mówi, „po uszy“. Przedmiotem mego uwielbienia była moja koleżanka, studentka uniwersytetu, paniąka dobrze wychowana, inteligentna, bardzo ambitna i niepozabawiona przymiotów serca. Jak to młode, zapalone głowy, postanowiliśmy sobie przez naszą wielką miłość zbudować gmach szczęścia, jakiego świat nie widział. Ale nie były to mrzonki, puste rojenia marzycieli, jakby kto mógł sądzić. Do rzeczy zabraliśmy się trzeźwo. Miłość nie wystarcza; wzajemny szacunek i zaufanie, oto podstawy trwałego uczucia. W tem się też zamykał nasz „kontrakt“ miłosny.

O ślubie nie mogło być mowy przed upływem dwu lat, gdyż czekał mnie jeszcze egzamin, a potem służba wojskowa. Skoro nas los rozdzielił, pisywaliśmy do siebie często długie listy. Odwiedzałem również niejednokrotnie swoją narzeczoną i zdawało się, że niema bardziej harmonijnego stosunku. Za każdym prawie widzeniem następowała choćby wzmianka o tem, że szczerłość i szacunek to trwałe ogniwa miłości, gdyż oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, iż t. zw. „sztuczki miłosne“, a więc poza, chłód, hardość, „niezdobyta twierdza“, kokieterja dla zdobycia serca, czy podsycania miłosnego żaru, to dobre dla t. zw. „łatwych zdobytczy“, lecz nie dla trwałego uczucia. Byłem więc naturalny, *byłem sobą*.

Zapomniałem jednak o tem, że kobieta, nawet w największej miłości, nie przestaje być człowiekiem, a więc nie wyzbywa się ludzkich wad. I stało się, rzecz naturalna, co nastąpić musiało: przestałem być *interesującym* mężczyzną. Zarzuciłem niepisany kodeks miłości, zapominając, że trochę cynizmu, trochę pozy, trochę forteli w zdobywaniu serca kobiecego robi mężczyźnie „do twarzy“.

Samą cnotą, jak się przekonałem, trwale kobiety do siebie przywiązać nie można, bo rychło jej się ona znudzi. Odpisałem wybranej, że skoro straciłem jej wzajemność, nie mogę ani jej, ani sobie życia łamać; zresztą, jak to bywa w takich razach. „A w środku me złamane serce“ i trochę doświadczenia.

Ale teraz, rzecz najciekawsza, nastąpił dziwny epilog całej historii. Najpierw ona troszkę kpiła ze wszystkiego, później, nawiązując do naszych dawnych koleżeńskich stosunków, proponowała na miejsce miłości postawić przyjaźń bez erotyzmu, a wreszcie, skoro widziała, że nie daję wiary przysięgom przyjaźni, bom się sparzył na przysięgach miłości... pokochała mnie ponownie i to uczuciem żywiołowym, jak mogłem sądzić z rozmaitych okoliczności.

Do spotkania tymczasem nie doszło. Byliśmy oboje zbyt ambitni. Dopiero przypadek o wiele później sprawił, żeśmy się zetknęli w obcym mieście. Powiedziała mi wówczas drżącym głosem, że nie spodziewała się nigdy po mnie tyle charakteru i mówiła wiele innych pochlebnych rzeczy. „Moja droga“, odpowiedziałem, „sądziłaś, że jestem ślamazarą, że nie potrafię być mężczyzną; poprostu sądziłaś, że prawdziwy mężczyzna nie potrafi być tak szczerzy, prosty, naturalny, ustępliwy tam, gdzie ustąpić należy, jakem ja wówczas był, gdy wierzyłem w możliwość zrealizowania naszego „kontraktu“.

Ileż jest takich kobiet, które, jak moja miłość, nie potrafią odróżnić prawdziwych wartości, leżących w sercu, od uludnych, błyskotliwych „lwom salonowym“ właściwych. To też, według mego zdania, o to właśnie nieporozumienie rozbija się niejednokrotnie szczęście i *w małżeństwie*. Kobieta winna pamiętać, że mąż nie może być stale kochankiem, bo życie, prócz zagadnienia miłości, niesie wiele innych zagadnień, może ważniejszych, jak np. zagadnienie głodu. Brzmi to prozaicznie, lecz czytelniczki „Bluszczu“ są inteligentne i nie odmówią mi racji. Kochanek wymuska się od „wewnątrz i zewnątrz“ na dwugodzinne spotkanie, trochę będzie w tem pozy teatralnej, ale zawsze wyda się „skończonym džentelmanem“; mąż zaś otwiera całe swe życie przed Tobą, miła Czytelniczko, nie zawsze będzie w humorze, coś czasem Ciebie też zrazi, lecz na drobnostki nie patrz, zajrzyj mu raczej w serce, a jeśli tam znajdziesz wartości prawdziwe, to daruj przykrości, jakie życie niesie, i bądź mu dobrą towarzyszką, bo na to zasługuje. Naucz się odróżniać wartości prawdziwe, trwałe, od iluzorycznych, przypadkowych, przejściowych. Największym skarbem jest serce.

Akademik.

Poradźcie.

Jestem nauczycielką, wprawdzie jeszcze nie taką, jak panna Faustyna, w 11-tym N-rze „Bluszczu“, co to dostała artretyzmu i pojechała nad morze. Ja jeszcze nie składam chusteczki przybrudzoną stroną do środka, tylko ją najczęściej gubię, nie mam też jeszcze ani artretyzmu, ani książeczki P. K. O., ale jest nadzieja, że wszystko to z czasem będzie. Od czegoż jestem nauczycielką?

Ale odbiegłam od tematu. Więc nie dosyć, że jestem nauczycielką, lecz na dodatek jestem w wielkim kłopotcie i chcę prosić Sz. Panie, które chociaż raz przyjmowały u siebie więcej, niż dwa dziesiątki osób na „żurku“, o radę. Bo ja właśnie prędko będę miała u siebie jeszcze gorzej, niż dwa naraz „żurki“: konferencję rejonową! Panie, które są nauczycielkami, wiedzą, co to za „interes“, i napewno będą mi współczuć serdecznie. Dla pań, nieuświadomionych w tej dziedzinie, pozwolę sobie udzielić kilku wyjaśnień. Od „żurku“ to się jeszcze można wykręcić, ale od konferencji nigdy w świecie. Konferencja „składa się“ z kilku fragmentów. A więc: lekcja, której nauczycielstwo musi słuchać, siedząc w mniej lub więcej wygodnej pozycji, często wyprawiając łamańce, żeby się na zdobytym miejscu utrzymać. Bo oprócz nauczycielstwa jest też w klasie z parę dziesiątków dzieci, z którymi się lekcję prowadzi, a które w dniu „konferencji“ występują uroczyście w ubrankach wypranych, włosy mają na glans wysmarowane tłuszczeniem o podejrzanej woni, a we włosach, prócz innych „dodatków“, niezliczoną ilość różnokolorowych kokardek (efektowne). Wogóle, pomimo, że nauczycielka, prowadząc lekcję, nie czeka w tym dniu żadnej niespodzianki, spotka się z nią na widok „bukietu“ dzieci, siedzących w ławkach.

Po lekcji następuje jej omawianie, czyli krytyka. Tu, naturalnie, trzeba mocno wysilić dowcip. Leży to w ambicji niektórych jednostek, że: choć lekcja przeprowadzona była idealnie, trzeba w niej znaleźć piętę Achillesa, bo i jakże! inaczej ani nazwisko mówcy, ani jego maksyminy nie trafią do protokołu, który przecież idzie do inspektoratu na wieczną rzecz pamiątkę. Do inspektoratu! to nie byle co. Na końcu krytyki może się nieśmiało przyplątać uwaga, że jednak lekcja była niezłe przeprowadzona.

Dalej jeszcze idą inne punkty w tym guście,

a więc: referaty i koreferaty, sprawozdania i t. p., wreszcie ustalenie planu następnej konferencji i wkońcu, korona wszystkiego, „przyjęcie“! Tak, korona różana dla wygłodzonego jazdą, lekcją i gorącą dyskusją nauczycielstwa, a cierniowa dla tej nieszczęsnej jednostki, która musi wystąpić w roli gospodyni. Bo i jakże! trzeba godnie przyjąć (jak, jak?), nakarmić trzeba głodnego Lewiatana i to nakarmić dobrze.

Susz sobie nad tem głowę, człowieku, jeszcze więcej, niż nad lekcją i ostatecznie resztki oleju wysuszysz, a z tego i tak pożytku nie będzie; przy takich gościach to i pelikan-by nie dał rady. Jużby z niego biały szkielet pozostał, a goście wciąż wydawaliby dźwięczne okrzyki życia: jeść! jeść!

Odkąd bywam na konferencjach (tą u mnie będzie trzynasta, nigdy nie miałam zaufania do tej liczby), w każdym z pierwszych punktów może mnie spotkać niespodzianka, ale w tej „koronie“ nigdy! Wiem zgóry, jak zresztą i wszyscy, że na pierwsze będą „kanapki“, na drugie „kanapki“, na trzecie „kanapki“, wreszcie słodkie danie: osłodzona herbata z ciastkami, czasem nawet z pączkami, sprowadzonymi wprost z Lidy, albo innego stołecznego miasta.

Herbata jest spożywana według współczesnej mody, t. zn. „na raty“, no, bo naczynia brak, a jeszcze żadna nauczycielka nie jest posażna, a więc „pije Kuba po Jakóbie, Jakób po Michale; kto kolejki nie doczekał, ten nie wypił wcale“. Jabym już chciała coś nowego wymyśleć, tembardziej, że na konferencji może być P. Inspektor, a w myśl zasady: ostatnie wrażenie najsilniejsze, z jakim wrażeniemby wyjechał, gdyby tak po kilku godzinach wysłuchiwanie sporów nauczycielstwa, musiał zjechać na „kanapki“ i „słodkie“? (Ojej, a jak, na moje nieszczęście „niechcący“ przeczyta to mój Inspektor? ale „raz kozie śmierć“!).

Sama napewno nicbym nie wymyśliła i ostatecznie skończyłoby się na tradycyjnych trzech daniach, więc zwracam się o pomoc do Sz. Pań, które, obdarzone intuicją, lub znające z praktyki ten kłopot, zechcą mi udzielić rad. A może i Pani Elżbieta, która już tyle dań wykombinowała, zechce mi pomóc i opisać takie „nad-danie“ (jest nadkonduktor, to może być i nad-danie) gdzieś w kąciuku „Bluszczu“, to przecież i inne siły pedagogiczne będą mogły za jednym zamachem z tego skorzystać.

Czekam pomocy i za nią zgóry dziękuję.

Marja Ławrukiańcówna z pod Szczuczyna k. Lidy.

Dogorywająca placówka rodzimego przemysłu i piękna.

Pani M. B. z Lubelskiego poruszyła w „Bluszczu“ sprawę zaniku u nas strojów narodowych wśród ludu. Rozwijając tę myśl, dodam, że cechuje nas również brak przemysłu rodzimego. Gdy udamy się do miejscowości zagranicznych, w pierwszym rzędzie rzuca się nam w oczy przemysł danego kraju, przemysł, którym chlubią się mieszkańcy, jako swoją twórczością, tym kwiatem nasiennym pracy.

W artykule niniejszym pragnę poruszyć zaniebane u nas tkactwo. Jest to przemysł bardzo stary, znany jeszcze u starożytnych greków. Jak głosi podanie, Pallas Atena obdarzyła ludzkość umiejętnością tkactwa, ucząc go pewną dziewczynę imieniem Arachne. Dziewczyna wykazała dużo zręczności, stała się zarozumiała, twierdząc, iż w sztuce tkackiej przewyższyła nauczycielkę. Bogini w gniewie zamieniła Arachnę w pajaka, który do chwili obecnej ze wstydu kryje się po kątach, snując piękną przedzę.

Gdybyśmy tak poszli w ślady legendarnego pa-
jąka, lecz nie w kątach, a jawnie zaczęli tkąć i po-
pierać przemysł rodzimy...

Przystępując do rzeczy, chcę nadmienić, iż w po-
wiecie Biłgorajskim, w małej osadzie Frampol, są
słynne na okolicę warsztaty tkackie, wyrabiające pię-
kne kilimy, obrusy, ręczniki, portjery i t. p. Frampol
zaopatruje w swoje wyroby sąsiednie powiaty przez
Lublin, Chełm i Zamość. Krasnystaw znalazł się w tak
miłych warunkach, że pewna rodzina z Frampola
osiedliła się w mieście, prowadząc kunszt tkacki. Nie-
stety, wyroby nie cieszą się dużym powodzeniem, mała
jest frekwencja kupujących, a przyczyna tkwi chyba
tylko w tem, iż rzeczy te można nabyć na miejscu,
a to nie imponuje. Piękne są te tkaniny, bije od nich
taka harmonja barw, że oczu trudno od nich oderwać.
Obrusy, kilimy, portjery mogą być w każdym po-
koju wspaniałą ozdobą, na której z przyjemnością
oko spocznie. Dodać należy, że są to rzeczy łatwe do
prania, nie tracą swoich barw, przytem cena ich
jest bardzo przystępna: obrus na sześć osób wraz
z serwetkami kosztuje tylko 21 zł., a jest to rzecz tak
piękna, że się nigdy nie opatrzy.

W artykule niniejszym zwracam się z apelem
do zrzeszeń kobiecych i różnych towarzystw polskich,
działających na terenie naszego powiatu, aby łaskawie
zainteresowały się dogorywającą placówką w apa-
tycznym mieście Krasnymstawie.

Rodzina, o której wyżej wspomniałam, przyjeź-
dzając do Krasnegostawu, sądziła, iż społeczeństwo
zainteresuje się pożytecznym przemysłem, popierają-
go przez nabywanie różnych wyrobów, że otrzyma
liczne zamówienia i t. d. Zawiodła się srodze i teraz
pokutuje za dobre chęci, oderwania od gniazda, źró-
dła właściwego przemysłu, zmuszona likwidować swe
sprawy. A szkoda, szkoda pożytecznej placówki. Ape-
luję więc raz jeszcze do wszystkich, którym sprawa
rodzimego przemysłu leży na sercu, aby nie dopuścili
do zlikwidowania wspomnianego zakładu. Ileż to rąk
mogłoby tam dostać pracę, gdyby tak uznano piękno
i bogactwo rodzimej wytwórczości.

Pola Pawłowska — Krasnystaw.

Pomagać trzeba.

Głęboko wzruszyło mnie i ośmieliło do napisania
niniejszego artykułu krótkie zdanie, zamieszczone
w jednej z odpowiedzi na ankietę gospodarczą w „Blu-
szczy“: „radabym widzieć ogłoszenia ludzi, potrzebu-
jących pomocy społeczeństwa“.

Kilka prostych słów jakże doniosłą zawarło treść,
niecąc jakby tysiące promieni słonecznych wszyst-
kim smutnym i rozpaczonym, których jest, niestety,
tak wielu! Zaliczę do nich także w pierwszym rzędzie
bezrobotnych: inteligentów i wyrobników, szary tłum,
w pełni sił męskich i energii, wydziedziczony z naj-
większej łaski życia: możliwości pracy, zapewniającej
ciału i duszy chleb codzienny.

Jak wielka jest niedola człowieka, nieprzydat-
nego sobie i ludziom, głodnego bez swej winy, ewen-
tualnie żyjącego z jałmużny, choćby bliskich osób,
wie tylko ten, kto albo sam przeżyje podobne chwile,
albo styka się codzień z Mileżącą Zgryzotą, widną
w pochmurnem spojrzeniu bezsłownej skargi.

Zrozumie się wówczas, iż łatwo owym parjasom
losu z pochylni rozpaczy zajść nad otchłań, której imię

Spokój Wieczny. Zrozumie się treść stokroć bolesną
szablonowych w prasie zawiadomień o samobójstwie,
o szaleństwie, o przestępstwach nawet kryminalnych,
do których pchnął zwierzęcy głód, udręka bez granic,
bez dna.

Tyle takich zawiadomień czytałam, tylu trage-
dyj byłam świadkiem!

W bezczynności, ciągnącej się już dwa lata, cier-
pi oto mój bliski krewny, mężczyzna w sile wieku.
Darmo stara się o jakąkolwiek, choćby najskromniej-
szą posadę. Odmówiono mu w Monopolu, w Policji,
gdzie, inteligent, prosił o miejsce posterunkowego.
A przecież tylko wojna, tylko służba dla Ojczyzny
przerwała jego naukę. Jako szesnastoletni chłopiec,
po dwukrotnej (pierwszy raz nieudanej), ucieczce ze
szkoły, wstąpił do Legjonów w 1916 r. i w wojsku
służył bez przerwy blisko siedem lat, uzupełniając
zresztą w międzyczasie wykształcenie. Wystąpiwszy
z wojska, na podstawie przedstawionych świadectw
uzyskał posadę nauczycielską, lecz po pięciu latach
pracy zwolnił się *wskutek okropnych warunków miej-
scowych, nie uznanych jednak za dostateczny powód
do przeniesienia, o co kilkakrotnie prosił.*

Odtąd rozpoczęło się jego daremne kołatanie do
różnych władz i urzędów, szarpiąca nerwy niepew-
ność, która, trwając tak długo, zawiódłszy zawsze,
przeszła zwolna w apatję, grożącą katastrofą, według
opinji lekarza.

Potrzuje pomocy społeczeństwa, ratunku on,
tak biedny i nieszczęśliwy, gdy Ojczyzna, dla której
walczył, której oddał młodzieńcze lat marzenia naj-
gorętsze, urasta w potęgę, już wolnością szczęśliwa!

I potrzebują pomocy wszyscy, podobni jemu,
rzuceni za obręb Czynu, co żywi i odziewa. To też
prawdziwie złote są słowa p. Ch. N. z Piotrkowa, jak
jej serce złote i współczujące.

Gdyby ich treść stała się pragnieniem wszyst-
kich, wierzę, iż wykreślono by wkrótce rubrykę bez-
robotocia, bo nie byłoby w Polsce ludzi, ginących z bra-
ku pracy. I nie musiałabym tak smutno i gorzko pisać
o byłym legjoniście, w najbliższej perspektywie ska-
zanym na chleb żebraczy.

B. M.

Nasza ankietę gospodarczą.

1. Ubranie, obuwie, bieliznę, meble, książki kupuję sama;
z produktów spożywczych wiele dostarczają do domu, jak: ma-
sło, mleko, jaja, ziemniaki; mięso, jarzyny, bułki, chleb i owo-
ce kupuje służąca.

2. Szukam zawsze stałych dostawców.

3. Unikam towarów zagranicznych, bo całe życie staram
się popierać nasze towary i kupować tylko u kupców-polaków.
Nasze towary nie ustępują w wartości i jakości obcym.

4. W Krakowie nie brak niczego.

5. Kupcy chętnie wciskają towar zagraniczny, o ile się
nie spostrzegę, np. pióra obce, ołówki Hardmuta lub Fabera,
nici i t. d. Każdy towar obcy lub zły zwracam, bo pragnę wy-
robić uczciwość.

6. Traktowanie klientów w niektórych sklepach pozosta-
wia wiele do życzenia. Często spotykam w pierwszorzędnym
firmach uprzejmą usługę. Kredytu udzielają niechętnie, ale mo-
że wskutek nierzetelności w splatach; ułatwienia są nieduże.